



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W tej summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Żona Araba (Wiersz). — Prelekcje Publiczne Fr. Henryka Lewestama. — Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Spielbagen, przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński. — Korespondencja z Paryża. — Natalja Borisowna Dolgorukowa powieść p. Furmanna. — Przegląd teatralny. — O Ubiorach.

Żona Araba.

z Catulle Mendes.

Paś się po dolinie Achodowe trzody,
W skwar letni żona niosła ze źródła dzban wody,
Spoczęła w kraju Betel pod palmą zieloną,
I taki sen nawiedził jej myśl rozmarzoną.

Zdało się jakby spała — w tem posłyszysz kroki,
I Achod rzecze do niej: „Żono! wstań bez zwłoki,
Kupcom z Sagor zeszłego sprzedałem ja lata
Sto owiec, za część trzecią należy zapłata,
Ale przestrzeń to wielka i starość mnie nuży,
I któż mnie w tej dalekiej zastąpi podróży?
Wiernego a sprawnego kędyż znajdę posła?
Chcę, byś trzydzieści syklów z Sagor mi przyniosła.“

I na skwar się nie żali, ni na drogę długą.
„Panie! — rzecze — rozkazuje — masz prawo nad
sługą!“

Gdy on rękę wyciągnął i wyrzekł. „Tam droga!“
Wzięła płaszcz tkany z wełny i poszła nieboga.
Steczka twarda, w kolezyste najeżona skały,
Z nóg krople krwi, z jej oczu łez krople spadały,
Lecz idzie w jasny dzionek, stąpa w nocej ciszy,
Nic oko jej nie widzi, nic ucho nie słyszy,
Aż nagle — dziki okrzyk rozległ się w pomroku,
Czuje rękę na ustach... przyskoczy ktoś z boku,
Płaszcz z jej ramion przemocą, zedrzed się ośmieli,
Uciekł... nóż ostry tylko utkwiał jej w gardzieli.

Sen był straszny — niewiasta zbudziła się młoda,
Patrzy — maż stoi przed nią — słyszy głos Achoda.

„Kupcom z Sagor zeszłego sprzedałem ja lata
Sto owiec — za część trzecią należy zapłata,
Ale przestrzeń to wielka i starość mnie nuży,
I któż mnie w tej dalekiej zastąpi podróży?
Sprawnego a wiernego potrzeba mi posła,
Chcę byś syklów trzydzieści z Sagor mi przyniosła.“

„Pan rzekł! wypełnię rozkaz!“ niewiasta odpowie,
Wola synów, i kładzie starszemu na głowie
Drżące dłonie, a usta małemu na czoło.
Wdzięła płaszcz tkany z wełny... i poszła wesoło.

Seweryna Duchńska.

PRELEKCJE PUBLICZNE

FR. HENRYKA LEWESTAMA.

(Dokończenie.)

Plan utworów Plauta w ogóle bardzo prosty, — rozwój jego akcji przytęm szybki, siebie pewny i nie-naciągany. W sytuacjach pełno najkomiczniejszego efektu, — w charakterach, jakkolwiek częstokroć jednostajnie powtarzających się, świeżość i wyraźnie odrysowana indywidualność uwydatnia się w kilku śmiałych, a zarazem subtelnym rysach, z których znać na pierwszy rzut oka, że artysta zdjął je prosto z natury. Wszystkie jest tu prawdą, niekiedy może zbyt nagą, ale wypływającą z siebie samą i nieprzerwaną. Owe komiczne powikłania i najbardziej awanturyczne przygody snują się nieprzerwanym ciągiem humoru i dowcipu, które najpospolitszym nawet potocznościom niewymownego zawsze dodają uroku. Wszędzie znać tu przedziwną ową swawolę, która co chwila wyrzyna widza ze złudzeń, by wnet go tęp głębię w nich napowrót pogrążyć: — akcja szybko bieży do celu, aż tu wstrzymuje ją nagle rozwlekła i wygodna ekspozycja jakichś nowych komicznych charakterów. Wśród życia greckiego napotykamy bez przerwy szczegóły czysto rzymskie, rzymskie miejscowości, obyczaje, nazwiska. Śmieszności i podłości przedstawiają się naszym oczom niczem nie ubarwione; — demon rozkoszy zmysłowych występuje przed nami w całej swej jaskrawości. Oczywiście poeta obywał się tu nie może bez rozmaitych szczegółów mniej przyzwoitych, ale te tłómaczą się nie tylko duchem wieku i gustem publiczności, ile raczej tą pewnością, że je Plautus dla tego tylko wyprowadzał na scenę, by je wyszydzić i zniszczyć. Rzekłbyś, że to jakiś wyższy duch górujący nad niemi, a nieuchronną gotujący im zgubę, — bo na tęp właśnie polega wielkość komedij Plautusowych, że z głębi poetycznego ich stanowiska wyziera groźnie czysta moralność, która poważnym i jasnym swym światłem zostawia brudy żywota w ohydnej ciemności. Ostatecznie łotr tylko bywa tam pokrzywdzonym, a szlachetne i ludzkie uczucie poety objawia się z całą potęgą pobłażania na wszystkich uciśnionych, upadłych i słabych.

z 20 sztuk Plauta do jego arcydzieł zaliczają się zwykle: *Samochwałek*, — *Garnek ze złotem* (wyborny arcywzór *Skapca* Molierowego), *Jeńcy*, których Lessing nazwał najlepszą komedią, jaka się kiedykolwiek ukazała na scenie, — *Straszdytło*, arcydzieło intrygi wielokrotnie naśladowane przez nowożytnych, — *nakoniec Skarb*, komedia, w której nie występują żadne kobiety, a celem której jest uczczenie wierności w przyjaźni. Zmarł około r. 184 przed nar. J. C., wtenczas, kiedy jego następcą Terencjusz liczył 10 lat wieku.

Chcąc teraz jeszcze w krótkich wyrazach scharakteryzować tegoż następcę, najwłaściwiej podobno uczynię to, porównując obu pomiędzy sobą. Komedye Terencjusza bardziej jeszcze od Plautowskich należą do rzędu przedstawianych w palliach czy płaszczach greckich t. j. malujących bezpośrednio życie ateńskie — wszelako stoi on niżej od swego poprzednika pod względem samoistnego obrobienia przedmiotów, równie jak nie dosięga go dowcipem i siłą fantazyi, świeżością i jednością języka. Cóż dopiero powiedzieć o owęj genialności Plauta, rozwijającego w charakterach i sytuacjach pojedyncze rysy komiczne, chociażby nawet kosztem artystycznej jedności? — coż o szczęśliwym owym humorze, z jakim, nie troszcząc się o względy podrzędne, Plautus co chwila ze świata greckiego przenosi się w rzymski, i w ogóle, na przekór symetrii zewnętrznej, puszcza się na wolę najkomiczniejszych podobieństw albo sprzeczności? — o tęp wszystkiem nie masz w Terencjuszu ni śladu. Utwory jego najzupełniej są prawidłowe, wyrachowane, jakby złożone pracowicie na poparcie zasad estetycznych: — jest on poprawnym, jak żaden może inny rzymski poeta, skutkiem czego, równie jak skutkiem objawiającego się już w nim żywiołu retorycznego, liczne posiada cechy charakterystyczne, późniejszym dopiero wytwornym poetom właściwe. Miłego przytęm dodaje wrażenia pewne ciepło serdeczne, które się w każdej niemal scenie Terencjusza przebija i które właśnie sprawiło, że od pisarza tego rozpocząć można nowy okres w poezji, i że w najbliższej po nim epoce, równie jak przez cały ciąg wieków Średnich, jego *Andryanka*, *Swiekra*, *Samodrzęczytel*, *Phormio* i *Bracia*, najwyższego doznawać zwykły uwielbienia, na które też, pomimo braku rzeczywistej siły komicznej, innemi świetnemi zaletami w zupełności zasłużył.

Dla niejakię już tylko dokładności nadmienię, że

Od starożytności klassycznej przejdziemy obecnie do poezji komicznej u Nowożytnych, gdzie Włosi,

najbliżsi spadkobiercy rzymskiej kultury, pierwsi stworzywszy u siebie teatr i udzieliwszy go Francji, by później od tego znów kraju przyjąć nowe tradycje, przez czas długi nie umieli się wyswobodzić z ślepego naśladowania dwóch rzymskich dramatyków, o których miałem zaszczyt mówić przed chwilą. Nawet dwaj niezmiernie słynni zjad inną pisarzy, jeden wielki poeta: Ariosto, drugi wielki historyk i publicysta: Macchiavelli, doświadczać się swoich w komedii, nieudatne tylko zostawili na polu tym próby. Nie wiele szczęśliwszym od nich był Tasso, śpiewak *Jerozolimy Wyzwolonej*, a pierwszy dopiero Jan Porta, jakkolwiek także w układzie swych sztuk trzymał się Plauta, dodaniem do nich scen gorąco miłosnych dowiódł przynajmniej niezwykłej głębokości uczucia. W w. XVII, kiedy scena hiszpańska jaśniała największym swym blaskiem, Włosi od niej także zasilali się mnóstwem utworów, które najczęściej jednak oszpecali haniebnie. Stronę poważną i prawidłową sztuki scenicznej tem bardziej zaniedbywano we Włoszech, ile że między ludźmi klas wyższych rozkrzewiło się zamiłowanie w operze, a między gminem w improwizacjach dyalogowanych i w maskach, wyobrażających stale jedne i te same postacie ludowe. Ostatni wprawdzie ten rodzaj nie mało zająć zdoła badacza, bo w nim występują z niezmierną bystrością i wesołością rodzimą, wszystkie rysy najwydatniejsze charakteru narodowego, jednakże zwyczaj improwizacji komicznej łatwo wprowadza na scenę rażącą pospolitość i gminność, od czego ustrzedz się nie zdołano nawet we Włoszech, gdzie żywość imaginacji, siła komiczna i pewna gracia nawet w szarżach najgrubszych, niemal powszechnym wszystkich bywają udziałem.

W połowie zeszłego wieku Goldoni zdołał oczyścić komedię włoską i takie nawet zyskał w tym powodzenie, że przez czas długi stał się samowładnym jej panem, lubo talentem powodzenie to nie ze wszystkim usprawiedliwiał. Główną jego zaletą była wielka znajomość teatru, pewna także prawda w obrazach obyczajowych; — było to jednak płytkie w charakterystyce, oschłe w inwencji, i nie wychodziło nigdy z zakresu zwyczajów i wypadków powszednich. Po nim Carlo Gozzi starał się podnieść komedię ludową, tworząc sztuki ze starotypowymi postaciami Arlekinów, Pantalónów, Brighellów, albo też czarodziejskie i fantastyczne, pełne częstokroć prawdziwego humoru, albo nareszcie przetwarzał hiszpańskie Calderona i innych. Były to już ostatnie wysiłki Talii włoskiej, bo od tej pory, nawet po chwilę dzisiejszą, Włosi nie mają właściwie żadnej komedii, skoro nazwać komedią narodową nie można mniej więcej zręcznych i szczęśliwych przeróbek czy naśladowań z komedypisarzy Francji i Niemiec.

Do tej Francji, przekroczywszy Alpy, zwracamy się teraz, i na progu jej zaraz, gdy wchodzimy w dziedzinę komedii, spotykamy się z postacią olbrzymią, która wszystkie inne wszystkich stuleci i krajów, od czasów upadku dramatu Greków i Rzymian, przewyższa o wiele. W ogóle talent komiczny jaśniał zawsze na pierwszym planie wespół z zalet francuzkiego umysłu. Już w Wiekach Średnich talent ten ukazywał się w wesołych piosenkach i powiastkach, w żartach „Dzieci bez troski“ (*Enfants sans souci*); — później odnosił świetne tryumfy w genialnych szaleństwach Gargantui i Pantagruela Rabelais'go, a w epoce wydoskonalonego smaku estetycznego natchnął najoryginalniejszego i najbardziej narodowego ze wszystkich poetów, którzy przyczynili się do świetności i sławy dworu Ludwika XIV. Tym ulubieńcem mass publiczności i króla był *Jan Poquelin de Molière*, właściwie *Jean Baptiste Poquelin*, który współcześnie z dwoma wielkimi tragikami Francuzów, *Cornille'm* i *Racine'm*, postawił dramat francuzki na wysokości dotąd nieznaną, i później nigdy nie prześcigniętą. W swoim rodzaju, o ileż jednak Molière jest wyższym od dwóch poetów tragicznych! O ile głębiej wniknął we wszystkie właściwości swojego narodu i swojej epoki, odtwarzając je w sobie i siebie w nich odzwierciedlając! A była to epoka niezwykła, kiedy po walkach Frondy, po zażartych tych bojach królewskości ze szlachtą, nagle wszystko się, jakby za dotknięciem czarnoksiężki różeczki, uciszyło do koła, — kiedy władza monarsza zbierała nareszcie zaczęła owoce wysiłku, poniesionych wspólnie z narodem, ale zbierać je zarazem na korzyść tegoż narodu, który ją uwielbia i kocha, który w pełnym zaufaniu na nią pragnie polegać. Kiedy więc cała już ta walka intryg, piosnek, pamfletów, wzajemnych zdrad i napaści ustała, wszyscy w niej czynni główni

i podrzędni działacze, z których każdy po razy kilka zmieniał swą rolę, a żaden nie potrzebował zazdrościć lub wymawiać drugiemu śmieszności, wszyscy aktorzy tego wielkiego dramatu bez trudności godzą się z losem: — książęta i magnaci stają się ozdobą i wierną podporą tronu, parlament rzuca wszelką ambicję polityczną i kontentuje się rejestrowaniem edyktów królewskich, duchowieństwo ucieka do świątyń gdzie głosi wymownie słowo Boże, nie zapominając przecież przy tej nauce religii o hołdzie należnym królowi; — a naród tymczasem krzepi się pod skrzydłami monarchii przemysłem, nauką, i mało pomału nabiera poczucia swego obowiązku i prawa, ażeby, gdy nadejdzie godzina, spełnić jedno, a o drugie upomnieć się. Ten ścisły związek królewskości z Francją trwał póty, dopóki można było przypuszczać, że ta potęga, która wyrzekła, że ona jest państwem (*L'Etat c'est moi*), własnej swojej chwały nie oddzieli od chwały państwowej, że czuwać będzie wytrwale nad wszystkim, co ją raduje i boli. W każdym razie urok ten trwał dość długo, żeby w ostatnich latach młodości Ludwika XIV, a w pierwszych jego wieku męskiego, dać początek okresowi jednemu z najrzadszych w Historii ludzkości, okresowi świetnych festynów, stanowych zwycięstw, uprawnionych podbojów bez oporu, niesłychanych powodzeń bez klęski, nareszcie arcydzieł w dziedzinie poezji i wymowy. Wdzięczność ludu przywiązała do tej świetnej epoki, imię monarchy, który był punktem środkowym i główną sprężyną tego ruchu serc i umysłów, a lubo dobrze wiadomo nam wszystkim, że ten wiek Ludwika XIV miał także swoją stronę odwrotną, jakże nie stanąć z uczuciem głębokiego podziwu u wrót tego wieku, którego cuda duchowe, bardziej jeszcze od materialnych powodzeń, poniosły tak wysoko i tak daleko sławę tego narodu, którego jedną ze sław największych jest Molière.

Wielki ten poeta komiczny stanowić będzie przedmiot następnego odczytu.

MŁOT I KOWADŁO

ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH

Fr. Spielhagena

przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński.

(Dalszy ciąg.)

W tem nadszedł czeladnik, trzeba było nowe kłocce nasadzać, majster poszedł do roboty. Scisnąłem go za rękę a on odchodząc odezwał się do mnie z uśmiechem:

— Masz mię pan teraz w ręku, bo powiedziałem panu szczerze co ludzie o panu radcy mówią. Gdybyś mu to powtórzył wyznał by mi zaraz, a i bez tego nie długo już tu pobędę.

— Byłaby to wielka strata. Przeciwnie, mam nadzieję, że się pan zostanie, i może nie jedną rzecz razem wymyślimy, i że nieraz jeszcze pogawędzimy z sobą. Nie opuszczaj starca, wszystko to dobrze się skończy.

Spojrzał na mnie zdziwiony i odszedł a ja po schodach wróciłem na górę. Przedemną leżało szerokie morze a na niem tu i owdzie migły żagle na statkach rybackich, nademną unosily się mewy i krzyczały żałośliwie. Jakaż to radość byłaby dawniej dla mnie ujrzeć znowu to wszystko czego tak dawno już nie widziałem! Stałem jednak zimny. Nie moja w tem była wina. Zmysły moje i serce były jeszcze silne i zdrowe, chociaż o kilka lat starsze, ale mię głęboko wzruszyły słowa, które tam przy tartaku usłyszałem. Jakże dziwnie zgadzały się z moimi myślami, które od chwili przybycia obsiadły mię i niechciały z głowy ustąpić. Jak dobitnie w kilku słowach odmalował radcę handlowego takim jakim go znałem i za jakiego go miałem. A jak się wczoraj wieczór nachwalił przedemną nie mógł, że wartość dóbr potroił, że ludziom tutejszym bardzo pomaga! Chciał pokazać okolicznej szlachcie, która po dawnemu gospodarowała, co to potrafi zrobić postępowy człowiek z opustoszałego majątku. To jedyna myśl była jego przewodniczką, niech się spieszy książę Prora, bo może zapóźno przybyć.

Pięććroć sto tysięcy talarów! Zkąd się wzięła taka cena? Wielkie to dobra mimo zły zarząd, warte były 150,000 talarów i podobno za tą sumę nabył je

radca. Teraz lepiej uprawne z nowym dworem i letnim pałacykiem, z nowymi fabrycznymi zakładami mogą być warte dwa razy więcej. Ale za to lasu nie ma, fabryki nie przynoszą zysku, i chociaż sto razy liczyłem brakowało mi zawsze więcej niż połowy do 500,000 talarów. Jeżeli pan radca wszystkie swoje interesa tak rachuje to się prędko przerachuje. I znowu obudził się we mnie wczorajszy niepokój, i znowu jak wczoraj wspominałem sobie o pięknej dziewczynie, dziedzicze skarbow które tylko w wyobraźni jej ojca istniały.

— Ale co ciebie to obchodzi? mówiłem do siebie, idąc przez szerokie pokłady nadmorskiego piasku. Właśnie trafiłem na rybę, którą morze wyrzuciło, zdawało się że już nie żyje, chociaż skrzela miała jeszcze czerwone, wziąłem ją i brnąc po kostki w wodzie zaniosłem na głębiny. Przewróciła się do góry brzuchem, najwyraźniej zdechła. Biedne stworzenie! chciałem ci pomódz ale teraz zjedzą cię mewy które kontente z tego żeś już żywot swój zakończyła.

— A co cię ma obchodzić zdechła ryba? filozofowałem dalej. Nic wcale! Trzeba mieć serce mewy, pazury mewy, dziób mewy i wesoło chwytając i pożerać każdą zdobycz, którą nam morze na brzeg wyrzuca. Wstydz się Jerzy! A co to pomoże! Nie możesz się przerobić na innego człowieka i nie możesz innych także przemienić! Naprzykład radca handlowy! Czy go nawrócisz do przekonania twojego mistrza? Do nauki miłości i pomocy bliźniemu? Nigdy! chyba wtenczas kiedy te przekonania zgadzają się z jego interesem. Czyliż ci nie powiedział mistrz, że przysła koleją na niego i jemu podobnych: że oni teraz są rycerzami młota, stara gra w innym kształcie. Ale ci nowi rycerze nie ostoja się tak długo jak tamci, wtedy przyjdzie kolej na ludzi rozumu i serca, którzy wierzą w sprawiedliwość.

— Czasy te nie przyjdą nigdy dla ogółu, pisał doktor Snellius, a wyjątki nie stanowią prawidła!

Nademną krzyknęła mewa, spojrzałem do góry; na brzegu głębokiej spadziłości pokazała się na chwilę amazonka i koń i kapelusz z woalem. Serce mocno mi bić zaczęło; była to niebezpieczna śmiałość, zawołałem z dołu żeby się miała na baczności, ale biała woal w oka mgnieniu zniknął. Nie bardzo by to było przyjemnem widzieć spadającą Herminę w głęboką przepaść choćby w moje objęcia.

— Hola, ho! wyrwał mi się z piersi jeszcze raz wykrzyknik, jakby znowu było co do ratowania radca, zdechła ryba i piękna dziewczyna. A czyż nie ratowałeś już na tych samych miejscach Dzika, kiedy celnicy trop w trop za wami ścigali!?

Szydząc tak sam z siebie ruszyłem prosto do domu z zamiarem oświadczenia radcy, że odjeżdżam zaraz i pod żadnym warunkiem nie pozostanę tu dłużej: po co sobie parzyć ręce i zamacać nogi? W tem ujrzałem wielkie łomowiska wapna. Byłoby to i nie stosownie i niegrzecznie porzucić interes, dla którego tu przyjechałem. Nie namyślając się wcale poszedłem obejrzyć roboty, stary dozorca oprowadzający mię powtórzył mi znowu, że wszyscy odradzali radcy kopać głębiej, ale on uparł się bo myślał, że mu naumyślnie odradzano żeby mu zaszkodzić i od najbogatszych kopalni w inną stronę usunąć. Nie wierzył, ma za to ogromne straty. „Ogromne straty!“ to samo mówił majster w tartaku, a oba mieli olej w głowie i byli zacni ludzie, i byłiby się cieszyli z powodzenia jak niepowodzenie szczerze ich obeszło. Dla czegoż nie usłuchał ich rady, kiedy jeszcze był czas do ratunku? Dla tego samego, dla czego odrzucił prośbę doktora Snelliusa żeby się zapisał do towarzystwa pomocy robotnikom zdrowym, chorym i pozostałym po nich wdowom z dziećmi. Dla tego samego, dla czego nie wysłuchał przedstawienia dyrektora o podwyższenie płacy robotnikom odpowiednio potrzebom czasu. Zawsze jeden i ten sam powód nieograniczona chciwość.

— Ma teraz wielkie straty! powtórzył dozorca i zszedł po drabinie do kopalni a ja zostałem sam z moimi myślami. Heby to można zrobić dobrego na tym zakątku ziemi, gdyby ktoś zamieszkał tutaj z tym zamiarem, żeby przez pracę własną i robotników i sobie wygodne życie urządzić i im dobry byt zapewnić. Jakżeby oni chętnie pracowali, gdyby wiedzieli że pracując dla pana i dla siebie zarazem pracują! Gdybym był tutaj panem, zrobiłbym raj dla siebie i dla wielu. Ale życzenia same nie wystarczają na to, trzeba mieć jeszcze materialne środki. W tej samej chwili mignął mi znowu w krzakach biały woal amazonki, a lekki bieg galopującego wierzchowca po szerokich piaskach wyraźnie było

słychać. Nie długo pokazała się i sama amazonka na dzielnym karym koniu a obok niej biegł olbrzymi buldog. Kiedy mię ujrzała osadziła na miejscu wierzchowca, ale buldog w sążnistych susach biegł prosto na mnie w nie bardzo przyjacielskich zamiarach. Przygotowany na to, uchwyciłem psa za szcękę i za nogę i odrzuciłem go daleko.

— Leo, Leo! wołała Hermina puściwszy w całym pędzie konia. Leo do nogi!

Ale uważał za stosowne zrejterować. skoro mu się napad nie udał. Zdało mi się że za mocno go ścisnąłem, bo kulał i skomlał wyciągając przednią łapę do pani.

— Dobrze ci tak! rzekła nachyliwszy się do psa — nie trzeba być tak głupim i napadać na człowieka, co lwa by na ziemię powalił.

Powiedziała to tonem szyderczym i na twarzy widać było także szyderstwo, gniew i dumę. Zwróciwszy potem na mnie swoje wielkie, niebieskie, śniące oczy rzekła:

— Nie ma się czemu dziwić, bo pies ułożony jest do tego, żeby strzegł swojej pani. Ale nie wiem za kogo on pana wziął.

Te niezyczliwe wyrazy, obeszły by może bardzo jakiego elegancika, ale ja widziałem w Herminie dziewczynę, z którą od dziesięciu lat ciągle się bawiłem, to też wyrazy jej wcale mię nie obraziły i bez żadnego gniewu odpowiedziałem, że pies w najgorszym razie mógł mię wziąć za robotnika, a wątpię żeby go układano przeciw tej pożytecznej i szeroko rozgałęzionej klasie ludzi.

Nie spodziewając się takiej odpowiedzi, rzuciła na mnie gniewliwym wzrokiem i zmierzwszy od stóp do głów odpowiedziała dosyć żywo, chociaż nie bardzo loicznie.

— To też dziwiło mię to zawsze, że chciano pana za co innego uważać. Zawsze zajęty pan jesteś tak ważnymi i pożytecznymi rzeczami, że nie dbasz wcale na swoją zewnętrzną, jak my mali, codzienni ludzie. Kiedyś miała przyjemność widzieć pana ostatni raz, wyglądałeś jak kominiarz, a dziś dla kontrastu wyglądasz jak młynarz.

Spojrzałem zdziwiony na siebie i rzeczywiście chodząc nieostrożnie w kopalni wapna, powalałem suknie i wyglądałem jak arlekin. Zdjąłem zaraz kapełusz i obróciwszy się do psa, który smutnie na tylnych łapach siedział rzekłem:

— Proszę cię bardzo o przebaczenie i przyrzekam święcie, że jeżeli się kiedy spotkamy, to będę czysto ubrany, a wtedy nie wątpię, że będziesz miał dla mnie więcej życzliwości jak i ja dla ciebie.

— Allons Leo! jeżeli możesz to chodź, a jeżeli nie, to sobie tu zostań!

Uderzyła już i bez tego niespokojnego konia tak mocno w szyję, że dał ogromnego susa i pobiegł galopem, a pies dosyć żwawo puścił się za nimi. Spotkanie to wyglądało bardzo na walkę a plac boju na teraz został przy mnie. Spojrzałem za oddalającą się szybko i szczerząc się uśmiełem:

— Leć, leć! słiczna dziewczyno! obyś na gorszych niż ja nie natrafiła!

Czas już był i dla mnie wracać do domu, bo pan radca niecierpliwi się zapewne oczekując na mnie. Puściłem się znajomą mi ścieżką, która się od bagien i wrzosów w dwie strony rozchodziła, jedna prowadziła do Trantowitz a druga do Zehrendorfu. Nie wiem jak się to zrobiło, ale spotkanie się z Herminą, która tak po nieprzyjacielsku ze mną się obeszła, wróciło mi dobry humor. Wszystko widziałem teraz w miłszem świetle, niż rano. Robić dobrze na wielką skalę wydało mi się prawie możebnym; błogosławiłem gwiazdę, która mię tu przyprowadziła. Pan radca chociaż nie był dobrym, ale mądrym człowiekiem, który nie będzie działał przeciw innym, jeżeli ci inni mogą mu wielkie zyski przynieść. Usłucha mię bo zna moją bezinteresowność, w dodatku nie wiem dla czego ma do mnie pewną skłonność, o ile przyjaźne uczucie może się w tak wyschłych pierśsiach rozwinąć. Może lubił mię dla tego że mogłem mu być użytecznym. Niech i tak będzie! Mogę więc śmiało postępować, chociażby Hermina jeszcze sto razy dumniejszą dla mnie była. Dla tego to słodka a zagniewana twarz dziewczycy, więcej wesołości niż smutku obudziła we mnie. Musiałem się śmiać dosyć głośno, kiedym niedaleko od siebie przebudził śpiącego człowieka, który oparłszy się na rękach patrzył na mnie wielkimi oczami. Zaledwie raz spojrzełem na te oczy już je poznałem.

— Pan Trantów! krzyknąłem. Janie, drogi Ja-

nie! i wyciągnąłem do niego obie ręce, które serdecznie uściśnął.

— Jak ci się powodzi drogi przyjacielu?

— Jak zawsze! odpowiedział Jan.

Był to ten sam dawny głos ale Jan nie był już ten sam. Oczy były jakby zamglone, policzki zbladły i zapadły się a nos, ów piękny nos był teraz brzydki czerwony. Kiedyśmy usiedli przy sobie na trawie i zdjął czapkę, ledwie trozka włosów pozostała na głowie.

— Wiedziałem że wrócisz tu, rzekł zapalając cygaro. Chciałem dziś jeść obiad na tamtej stronie, pokazał na Zehrendorf, ale nie wiem czy będę miał na to dosyć ochoty. Jestem podwójnie szczęśliwy że cię tu spotykam i tu miliej niż tam.

— A zatem żyjesz zawsze samotny, jak wtedy? zapytałem się.

— Oczywiście!

— To wcale nie dobrze, odpowiedziałem, bo w ubranu i głosie Jana dostrzegłem wielkie zaniedbanie. Bardzo źle! Czyż taki dobry i zany człowiek jak ty, ma w samotności zmarnować życie dla tego że trafił na kokietkę, która go parę lat na sznurku wodziła? Tak jest, panie Trantów, kokietka bez serca, nie warta żeby pocziwy człowiek nią się zajmował. Nie warta naszej litości, powiadam ci wiem to z własnego doświadczenia.

— I ja także!

— A wiem o tem. Czyś ją widział potem?

— Widziałem!

— Gdzie i kiedy?

— Przed ośmiu laty w Neapolu.

— A zatem wtedy kiedyś zniknął jak kamień w wodzie.

— Tak jest!

— W Neapolu?

— Tam!

Było to jedynym w swoim rodzaju. Jan Trantów w Neapolu, północny niedźwiedź między południowemi szakalami: a i przyczyna, która go raz w życiu wyrwała od domowych bogów i zagnała daleko w świat, nie musiała być błahą.

Było to w Grudniu przed dziewięciu laty; siedziałem już miesiąc w więzieniu śledczym, kiedy Jan otrzymał jakiś list, rzucił zaraz dubeltówkę i torbę na ziemię, bo właśnie wybierał się na polowanie, kazał zaprządź do sanek i pojechał... Jechał długo bo nie jechał prosto, bo szukał Neapolu w Turcyi i ztamąd dopiero po dwumiesięcznej podróży dostał się do Włoch do Wezuwiusza i do Neapolu. Zaledwie dopytał się o hotel, bo pocziwy Jan nie mówił żadnym językiem tylko swoim rodzinnym, wskazany mu w liście i znalazł tę, której szukał, ale nie tak jak ją miał nadzieję ujrzeć i nie tak jak w liście była opisana. Nazwała się w nim zdradzoną, opuszczoną i ostatnim dla niej ratunkiem i opieką był on, dodając że wydobywszy ją ze strasznej nędzy, uratuje od nieuniknionej śmierci. Jan wziął to wszystko dosłownie, musiał więc niemało się zadziwić ujrzawszy ją w najpyszniejszym hotelu na ulicy Toledo, w okazałym apartamencie i w bogatej toalecie, sto razy piękniejszą niż dawniej. Na jego widok zmieszła się i zbladła: nie myślała że jej list taki prędko będzie miał skutek, że nawet ten skutek, bez zameldowania się wpadnie do jej pokoju. Nie zrobiła więc żadnych stosownych przygotowań. Była właśnie wtedy w Neapolu niemiecka księżna, która ją wzięła do siebie. Ale łaska wielkich tego świata jest zmienną i często zależną od tak twardych warunków, że dumne serce nie może się im poddać. Księżna w zamian za swoją łaskę wymagała, żeby Konstancja zaślubiła młodego barona, swego faworyta, a ona — Konstancja, była jedną z tych co wolały wszystko znieść niż iść przeciw uczuciu i przekonaniu.

Taką bajeczkę wymyśliła w oka mgnieniu zwodnicza cyrcy prostakowi z Trantowitz, było przy tem sporo łez, westchnień, uśmiechów czemu nie obyły że światem uwierzył wszystkiemu na ślepo. Cicho wrócił do swojej skromnej stancyjki i myślał całą noc nadtem jakby jej dopomógł. Zaślubić ją było niepodobieństwem. Taki Trantów nie mógł zenić się z panną, która tyle świata sama objechała, chociaż by była sto razy piękniejszą i chociażby ją sto razy więcej kochał. Podzielić się z nią tem co ma, opiekować się i bronić jej jak brat nieszczęśliwą, ukochaną siostrą, to mógł i chciał to zrobić pocziwy Jan. W tym celu udał się nazajutrz rano do niej. Ale w nocy rozmyśliła się cyrcy inaczej, i opuściła hotel w towarzystwie tego samego barona, który był bliskim znajomym księcia Prory a nie żadnej księżnej.

Kiedy młody książę z rozkazu ojca opuścił Neapol odstąpił Konstancję baronowi za wielką sumę, którą do niego przegrał w karty. Opowiedział mu to i wiele innych jeszcze rzeczy bardzo nieprzyjemnych, niemiecki kelner będący w hotelu i który podług wszelkiego prawdopodobieństwa, wielką rolę w całej tej intrydze odgrywał. Ponieważ Jan nie przyjechał po to do Neapolu, żeby po ulicy Toledo zwiedzić wyspę Kapreg, albo wdrapać się na Wezuwiusz, więc otrzepał kurz z trzewików i puścił się napowrót do domu. Nie daleko poczciwiec zajechał. Długa i nużąca podróż, zmianna klimatu i sposobu życia, ogniste włoskie wino którego podług zwyczaju, pił dużo, a nadewszystko druga zdrada cięższa niż pierwsza, zmogła jego silną naturę. Nie daleko od Rzymu u bramy jakiegoś klasztoru, konduktor Neturina (*) złożył jakiegoś podróżnego, który niebezpiecznie zachorował. Dzięki silnej budowie i pomocy klasztornej doktora brata Antoniego, mógł już po sześciu tygodniach przechadzać się po ogrodzie. Ogród był piękny i miał piękny widok na wiekiste miasto; zakonnicy byli dobrzy chociaż trozkę brudni i nieraz przekładali mu, czy by to nie było z pożytkiem dla jego duszy, żeby nie wracał już wcale do swojej barbarzyńskiej ojczyzny i rzucił się na łono jedynie zbawiającego kościoła i żeby, jeżeli się tak Bogu i Najświętszej Pannie podoba, żył jak święty i umarł jak święty. Dziwna propozycja dla dobrego Jana! On nigdy nie myślał dotąd ani o teźniejszem ani o przyszłym zbawieniu duszy, a chociaż namowy szanownych ojców miały w sobie wiele powabów, zrozumiał jednak dobrze, że musiałby się wyrzec wszystkich swoich upodobań. Wino w klasztorze było ale miało jakiś dziwny smaczek, do którego się nie mógł przyzwyczaić; co więcej, przy końcu Lutego drzewa już kwitnęły jakby nie było nigdzie na całym świecie buki i topoli, okrytych lodowemi sopłami. Aż wreszcie, jednej nocy kiedy go litościwy sen przeniósł do Trantowitz i pokazał mu niemieckie lasy i kilka pomykających zajęcy, nie mógł dłużej wytrzymać, uściśnął po kolei ręce wszystkich mnichów, dostał błogosławieństwo od przeora i wrócił z kąd przybył.

Takie było opowiadanie Jana, proste i spokojne. Żał mi było żem najmniejszego wzruszenia na jego obliczu nie dojrzał. Nie miał w sercu nienawiści do Konstancji ani do młodego księcia, który teraz mieszkał w jego sąsiedztwie, a tyle było w nim rezygnacji, tyle wyrzeczenia się wszelkiej nadziei, że mi się bardzo smutno na sercu zrobiło. W tem z kraków wybiegł stary wyżeł, przywitał naprzód Jana a potem ku mnie melancholicznie kiwał ogonem.

— Mój Boże! Czy to Karo?

— On sam! Zda mi się nawet że cię poznał.

— Stary znajomy! a do pola zdalny jeszcze?

— Nie bardzo. Na kuropatwy nie można go już brać, a na kaczkę nie chce sam już chodzić bo nie lubi wody. Przyszło na to że muszę sobie sam kaczkę aportować. Obaśmy się bardzo zestarzelili.

— Trzeba wstać i iść, odezwałem się.

— A dobrze! i dobry Jan podniósł się powoli.

Doszliśmy do miejsca gdzie się ścieżki rozchodziły.

— Czy tu na zawsze zostaniesz? zapytał się Jan zegnając mię.

— Na zawsze? Zkąd przyszło ci to zapytanie?

— Nie mnie ono przyszło ale mi tak powiedziała panna Bete.

— A czy powiedziała także, po co mam tu na zawsze zostać?

— Oczywiście, i życzę ci szczęścia z całego serca.

— Dla czegoż więc? zapytałem biorąc go ze drzewem za rękę.

— Przebac mi, odpowiedział Jan zacerwieniwszy się, — nie chciałem być niedyskretnym, ale myślałem że między nami nie ma żadnej tajemnicy.

— Ależ na miłość Boga, o czym mówisz? I kto wie czy w tej chwili nie byłem czerwienniejszy od Jana.

— Czyż nie zaręczony z Herminą?

Roześmiałem się na głos, pocziwy Jan wziął ten śmiech za potwierdzenie, ścisnął mię znowu za rękę i rzekł:

— Winszuję, z całego serca winszuję, nie mam nikogo, na świecie kogobym tak kochał jak ciebie. Ludzie tutejsi potrzebują dobrego pana.

Uściśnął mię serdecznie i odszedł, Karo szedł za nim oglądając się często na mnie. Puściłem się

(*) Dylizans włoski

ścieżką, przedemną wznosił się nowy okazały pański dwór, po obu stronach tu i owdzie stały na pół rozwalone chaty, a biedni w łachmanach prawie ludziska, łazili zafrasowani po polu.

— Rzeczywiście! bardzo im potrzeba dobrego pana.

ROZDZIAŁ XII.

Od tygodnia już bawiłem w Zehrendorfie. Z owęj to epoki leży przedemną długi list, na którym tu i owdzie widać plamy jakby lzy na niego spadły, a przecież list ten był swobodny i wesoły i brzmiał jak następuje:

„Kochana Wando! ty najlepiej wiesz że nie przybył tutaj po to żeby się bawić, a jednak przez całe te ośm dni nic nie robię tylko się bawię lub udaję że się bawię. Rzeczywiście droga Wando, wydaje mi się jakbym koniecznie musiał wywołać wszystkie dawne moje trzpiotarstwa, o których przeszło przez dziewięć lat zapominałem zupełnie. Jest tu jeszcze wielu takich ludzi, co pamiętają dobrze dawne moje czyny czy to na rybackiej łodzi z muzyką i śpiewem, czy w wesołym towarzystwie przy tańcach i winie, czy wieczorne przechadzki po lesie z fajerkami, które razem z aptekarczykiem przysposabiałem. Nie jeden jeszcze powtarza mi tu: „Daruj pan, aleśmy się tego bawili jak tylko pan byłeś między nami.“ Zaledwie dziesiątą część tego wszystkiego pamiętam, ale pamięć kobiet jest niezmiernie w pewnych razach silna.... Biedna Emilja?”

Zkąd się ona tutaj wzięła? Wcale niespodziewanie i nie wyglądana zapewniam cię. Ale Emilja jest córką dawnego mojego nieprzyjaciela, radcy prawnego a ponieważ książę Prora i radca handlowy ciągle się o kupno Zehrendorfu umawiają, więc i pan plenipotent prawny musi być obecnym. A gdzie jest prawnik tam nie daleko musi być Emilja, jeżeli obok interesów można się zabawić, o co u nas nie trudno. Gdzie zaś jest Emilja tam z pewnością jest jej przyjaciółka, córka burmistrza, Eliza Koch. Ależ mój Boże, grzechem jest żartować z nich! Czyliż one temu winne, że nigdzie z rodzinnego swojego miasta nie wyjrzały, że chodzą niepewne i drżące, że się co chwila rumienia i że nie znalazły tego, kogo szukały. Nie można się wstrzymać od śmiechu, kiedy obie te Eleonory, tak je tutaj nazwano, z wyuczonemi w zwierciadle minami, wchodzą trzymając się pod rękę do salonu a złośliwy uśmiech Wilhelma wita je i prowadzi kiedy im pokornie otwiera podwoje. Zalecam ci tę grupę do pierwszego salonowego obrazu. Emilja niższa ale śmielsza jest niejako światową podporą dla Elizy, która o głowę wyższa miała jak sobie przypominam, w młodości romans z jakimś nauczycielem który zawarował i umarł w kwiecie wieku.

Odtąd ta męczenniczka miłości i losu, powtarza codziennie ułożony frazes. „Ty możesz śpiewać grać i tańczyć boś szczęśliwa! ale ja?... A Emilja spogląda na nią z politowaniem i uśmiecha się żeby ją pocieszyć. Wzruszający widok, zwłaszcza że obie Eleonory mają razem około sześćdziesiąt sześć lat, bo pamiętam dobrze że się nie chciał bawić z Elizą bo była za starą dla mnie, a Emilja urodziła się o rok wprzód odemnie.

„Chociaż pamięć Emilji jest bardzo mocną i wierną, zapomniła jednak, jak sama utrzymuje pewną chwilę, którą znowu ja doskonale pamiętam. Było to owęj nocy, kiedy z matką weszła do pokoju ojca i z zawiniętymi papilotami zaklinała mię, żebym darował życie ojcu, który teraz mruga na mnie przyjaznymi oczami i po obiedzie odzywa się laskawie: „Niech ci będzie obiad na zdrowie, młody przyjacielu! Byłbym się tracił z tobą kieliszkiem ale za daleko siedzę od ciebie. Uściskajmy się!“

„Niekiedy chwytam się za głowę, żeby się przekonać że nie śpię, że to nie sen. Bo trzeba ci wiedzieć kochana Wando, że jestem królem tutaj, wszyscy mi pochlebiają, wszyscy są dla mnie uprzedzający — wyjąwszy jedną. Bawi mię to bardzo. O to stary przyjaciel, mały pan Granów, jeszcze okraglejszy, że mu prawie głowy na karku nie widać, szczególnie kiedy obecną jest jego małżonka, córka piwowara, która mu wniosła parę kroć sto tysięcy talarów, za co jak jego przyjaciele utrzymują, gorzkie lzy wylewa pod pantoflami jejmości. Dalej radca skarbowy i jego urodzona! Donosiłem ci jak mię pierwszego dnia przyjęto. Ale potem musieli wielką radę złożyć, której rezultatem była zupełna zmiana metody. Zmiana ta polega na tem, że radca skarbowy jak

tylko mię zobaczy, wyciąga do mnie ręce i z uśmiechem przemawia: „Jak się masz Jerzy! Syna starego przyjaciela i kolegi, wolno mi przecież po imieniu nazywać. Na te słowa pani radczyni także się uśmiecha a nawet niekiedy bierze mię pod rękę, odprowadza na bok i długą konferencję z mną odprawia o swojej żrenicy w oku, o swoim Arturze. Ale na teraz żrenica ta bardzo ją boli, i gdyby wierzyć jej słowom, chce ją wyrwać raz na zawsze. Ale nie można jej wierzyć; jest to stara litanja, którą nie raz już słyszałem chłopięciem będąc. Artur jest najlepszym, najrozumniejszym, najmilszym człowiekiem, ale wszystkie te świetne przymioty gasi niepoprawna lekkomyślność. Zmieniła się tylko forma litanji, dawniej ja byłem winien bom go do wszystkiego złego podmawiał, dziś zaś ja jeden tylko mogłbym zbłąkaną owieczkę do domu ojców nawrócić. Nie wierzę ani słowa temu co mówi, bo wiem dobrze czego chcą odemnie. Wiem dobrze, dla czego mię Artur co dzień tu po kilka godzin przebywający, obsypuje wszelkiego rodzaju pochlebstwami i grzecznosciami. Wiem dobrze że Granów pragnie nabyć Zehrendorf i chciałby żebym za nim słówko przemówił. Wiem że Wilhelm zostanie oddalony na Wielkanoc, i radby za mojem wstawieniem zostać na miejscu. Wszyscy mają w tem interes żeby biednemu Jerzemu nadskakiwać, jako człowiekowi z ogromnym wpływem, kto wie czyby mi to wszystko nie zawróciło głowy, gdyby tu nie było kogoś co mnie po chrześcijańsku z błędu wyprowadza. Gniewa ją to że ojciec zaprosił do siebie nie nie znaczącego człowieka z gminu, i że dla tego nie może go wypchnąć za drzwi, ale mi wyraźnie daje do zrozumienia, że podobni ludzie do innej sfery należą. Opowiem ci to w szczegółach jak powrócę, bo na papierze nie dosyć dobrze wyglądałyby tutejsze twarze, tak się wdziczające do mnie. Nie prawda Wando?”

(d. c. n.)

Korespondencja z Paryża.

przez Gor...

Nie małej zaprawdę potrzeba odwagi, by się pokusić na rywalizowanie z pomyłkami tak rozkosznej pory jaką mamy obecnie w Paryżu, aby zapragnąć zwabić choćby małe gronko ludzi w cztery zimne mury, i przetrzymać ich przez najpiękniejsze dnia godziny.

Znalazł się jednak ten odważny i pokazało się, że nie przecenił sił swoich.

O drugie ję z południa w teatrze *Gaîté* ścisk był niemały, bo na afiszu czytano nazwisko pana E. Legouvé członka Akademii, przyjaciela i obrońcy kobiet prawem dziedzictwa po ojcu, autora znakomitych scenicznych utworów, a co więcej niepospolitego mówcy. Przedstawiono jego tragedję *Medea*. Autor, jak starożytny poeta, w przedmownym prologu objaśnił swoje dzieło, wyjął wszystkie arkana tworzenia. Pouczający to wykład dla nowęj falangi gotującej się do wejścia w szranki dramatycznego zawodu, czy to piórem, czy osobą własną. A i dla profanów zajmujący i nie bez wielkiej korzyści. Publiczność, wszak to najwyższy trybunał wydający stanowcze wyroki: powinna więc znać się aby dobrze sądzić.

Powodzenie sztuki nader było świetne. Talent pióra pana Legouvé dobrze jest znany i oceniony. W mówcy widzimy to tem czem jest jako człowiek, rozum, dowcip i rozsadek pod pozorami serdecznie ujmującymi. Mowa jego to właściwie nie prelekcja, ale pogawędka, opowieść, pełna wdzięku, życia, lekka choć tyle w niej głębi i myśli. Słucha się jej z nadszyczną przyjemnością.

W pierwszej połowie onęj mowy, treściwie wyłożył mechanizm utworu scenicznego, to jest jak się sztuka buduje, następnie wykazał jej żywioł psychologiczny, czyli z czego się ona składa. W końcu przeszedł na temat współdziałania w pracy utora, dokonanego często bezwiednie a czasem wielce pomyślnie, przez artystów teatralnych, i na wszystkie przeszkody i trudności, które spotykają utwór zanim dostąpi zaszczytu przedstawienia. Ciężej to przychodzi nieraz aniżeli utworzenie, a z pewnością wymaga niepojętego zapasu cierpliwości.

Materia ta naprowadziła mówcę na ciekawe szczegóły dotyczące się dwóch sławnych artystek dramatycznych, panny Rachel, i pani Ristori, z których pier-

wsza porzuciła swoją rolę w jego tragedji, przez co sztuka ta w Teatrze francuzkim nie była grana, — druga rolę ową podjęła i we włoskim języku świetnie jej zapewniła powodzenie.

Panna Rachel, osobistość to sławy europejskiej. Parę ustępów z opowiadania pana Legouvé z własnych wspomnień zaczerpniętych a szczególnie charakteryzujących tę postać, rzucają wiele światła na talent tak wyjątkowy, a rzec można zupełnie samorodny.

Ukończywszy dzieło, — powiada mówca, — pomyślałem o objawieniu go światu: to jest rzucałem niebiańskie tworenia zachwyty, a szedłem brnąć w manowce i ciernie przedstawienia na scenie. Kiedy pod ostatnim wierszem rękopismu kreśliły wyraz *koniec* wykrzyk radości podnosimy, zapominając iż koniec pracy jest początkiem męczarni.

Rozumie się iż najpierwszą osobą której moja tragedję odczytałem, była panna Rachel. Dziwna to istota a wielce interesująca, z której trudno było zdać sobie sprawę. Myśląc o tem zkąd wyszła, jak pojąć stopień do którego doszła? Gdzie się nauczyła tej wykwintnej elegancji gdy sama w biedzie żyła i wzrosła? Opowiadała sama, iż mając lat czternaście pierwszy raz wsiadła z matką do kabrioletu, i tak się czuła dumną z tego że jechała powozem, iż się ustawicznie wychylała w nadziei że ktoś ze znajomych przechodząc ujrzy ją w takiej świetności. Później kiedy już była sławną, jeden z jej wielbicieli, hrabia czy książę, powiedział jej z pewnym tonem przesady:

„Pani podniosłaś wartość języka francuzkiego“ — odrzekła mu wesoło.

— A to się udało takiej co nie zna pisowni! I prawda, nie znała jej i nigdy nie pisała bez błędów: wiadomości jej nabyte były żadne. Wierszy nie czytała nigdy, wyjąwszy te których się uczyła. Wszystko w niej było instynktem, darem wrodzonym, wrażeniem.

Otóż przy słuchaniu mojej tragedji, wrażenie jej nie było dla mnie korzystnym. Na samą wzmiankę tytułu zachmurzyło się jej czoło, spodziewała się utworu nowożytnego. Przy odczycie była chłodną, a po skończeniu nastąpiło złowrogie milczenie: wręcz mówiła ono autorowi że jego sztuka nie warta!

Nie tak bardzo się tem jednak zatrwożyłem. Mając do czynienia z umysłem tak ruchliwym, nie zbyt wielką porażką mieć przeciw sobie pierwsze wrażenie, bo można liczyć na zmianę. A przytem, dobrze ją znałem. Zauważyłem już był w niej poprzednio pewną metodę w pracy, która mi otuchę dawała. Zwykle gdy jej pierwszy raz czytano jaką rolę rzadko kiedy uchwyciła jej ogólną fizjognomię, jakieś tylko pojedyncze efekta ją uderzały. Gdy się zabierała do wyuczenia, zamiast określenia sobie roli w szerokich zarysach niby malarz co postać szkicuje, siarała się najprzód scharakteryzować ten lub ów ustęp. Potem przez ten punkt szczególny, powiedziałbym przez te małe drzewczki, wchodziła w pojęcie całej osoby, z pomocą pracy, gdyż nie znałem pracowitszej nad nią artystki. Z pomocą rozumu, a raczej niezrównanej pojętności od szczegółów przechodziła do całości, od analizy do syntezy, i tak sobie składała całą rolę, jak Cuvier gdy odbudowywał cały twór już zatraconego gatunku, za pomocą maleńkiej cząstki jednej kościczki.

Otóż i ja, nie tracąc nadziei poszukałem w mojej sztuce owęj charakterystycznej kościczki, z której ona sobie całe zwierzę mogła złożyć.

Po chwili milczenia przystąpiłem do niej i rzekłem otwarcie i szczerze.

— Przyznaj pani, żeś nic a nic nie zrozumiała mojej sztuki.

— To prawda!

— No! a za pięć minut pani ją zrozumiesz.

— Za pięć minut?

— Tak jest. Talma powiadała, że w każdej roli dobrze pojętej jest jakiś ustęp, jakiś wiersz, wyraz, w którym znajduje się streszczona cała osoba. A więc, w pierwszym akcie, w scenie Medei z Kreuzą, znajduję cztery wiersze które są wizerunkiem Medei.

— Jakież to wiersze?

— Oto te: „Jam nie Grecji córa, jestem z barbarzyńców rodu, i nawet miłość moja ognista w szalony wpada zapędy, i serca dziecięce trwoży swoim uniesieniem, przestraszam je często samym uściskiem moim.“

Zaledwie wyrzekłem te słowa, gdy się rozpromieniła twarz panny Rachel.

Pochwyciła rękopism, i z tą cudowną potęgą wykonania jakiej mi się nie zdarzyło spotkać w nikim,

nym, natychmiast mi powtórzyła o te wiersze stokrój lepiej niż je sam odczytałem. Oddała mi je, że tak powiem, przetworzone przemienione. Był to dar jój właściwy. Dać jój było tylko trafną wskazówkę, ton prawdziwy, uchwyciła go w tej chwili, przyswoiła sobie i tak spotęgowała że już go nie poznałeś: dałeś jój grosz, ona ci zwracała banknotą.

Pięć minut nie upłynęło a już się zabraliśmy do dzieła, i przez cały tydzień po kilka godzin dziennie pracowaliśmy wspólnie z wielką moją radością. Jaki w niej zapał, jakie wycucie się wszelkiej próżności! Jak delikatne poczucie odcieniów, jak wytrwałe ubieganie się za prawdą, za pięknem!

W najwyższym stopniu posiadała ową dziwną władzę włączania myśli o teatrze do wszelkich życia czynności, nazwałbym to nagabywaniem sztuki. Powiadają zwykle iż nie można dwóch rzeczy na raz robić. U wielkich aktorów jest to zupełną nieprawdą, bo oni zawsze dwie rzeczy na raz robią. Czy to rozmawiają, czy chodzą, jedzą, cierpią, płaczą, zawsze są przytem aktorami. Talma spotyka jednego ze swych przyjaciół w brunatnym odzieniu: „Dobry to kolor, rzecz, na płaszcz dla niewolnika.“ Raz, w przed dzień przedstawienia Tyberjusza, zachorował ciężko. Autor codziennie chodził się dowiadywać, bo autorzy przejści są najtkliwszą troskliwością o zdrowie aktorów, mających grać w ich sztuce. Po dwóch tygodniach wpuszczono go do chorego.

Wchodzi: Talma zmieniony do niepoznania, śmierć bliska wypiętnowała już swoje znamię na jego obliczu! I jakież były pierwsze jego słowa do autora? Nie o chorobie, nie o swych obawach. Wychudłemi dłońmi ujął swoje zapadnięte i zwiśnięte policzki i rzekł: Otóż tak właśnie powinien wyglądać stary Tyberjusz. „Lekain traci ukochane dziecko, cały pograżony we łzach, w rozpacz! Jednego dnia płacząc na głos, tak rozdzierające łkanie wydarło się z jego piersi, że sam siebie słysząc zadrżał, zastanawia się, powtarza ten jęk bolesny i umieszcza go w tragicznej scenie. Nie chcemy pomawiać go o nieczułość, nie powiadajmy że aktor zabił w nim ojca. Nie, boleść jego szczerą była, lecz sztuka zawsze i wszędzie obok niego stawała, i mieszała się we wszystko. Jest to fatalnością geniusza i geniusz tylko przy tej fatalności istnieje.

Owoż pana Rachel ulegała tej szczytnej gorączce i z tego względu opowiadała sama dowód bardzo uderzający. Pamiętamy przedziwną jój grę niema w czwartym akcie *Horacjuszów*, podczas opowiadania o śmierci Kuracjusza. Przez całą tę scenę ma ona wyrzec jeden tylko wyraz: *niestety!* A przecież widzowie ją tylko jedną przed oczami mieli, jój tylko sypali oklaski, nawet piękność wierszy Kornela ginęła w obec tej mimiki. Otóż przy początkowych przedstawieniach ona tej akcji mimicznej nie stworzyła, wynalazła ją później, trafem, w następem zdarzeniu. Pewnego dnia, kończyła właśnie ubranie w swoim skromnym saloniku, kiedy zadzwoniono do drzwi. Cofnęła się do sypialnego pokoju oddzielonego szklanymi drzwiami od bawialni. Wchodzi jeden z przyjaciół, i opowiada jój matce jak poprzedniego wieczora napadnięto go na ulicy, jak ręką porwał za nóż godzący w pierś jego, i jak rabuś cofając ostrze zostawił mu głębokie zacięcie w dłoni. Wzruszona tem opowiadaniem panna Rachel zbliża się ku drzwiom i staje przed szybą w chwili, gdy gość pokazywał matce skaleczoną rękę. Na ten widok słabo jój się zrobiło, nogi pod nią się zachwiały, za ledwie zdążyła uchwycić rękę za biurko i opierając się dojsz do krzesła gdzie upadła zemdlona. Po kilku minutach przyszła do siebie.

Jakim sposobem powiadała, stanęła mi wtenczas na myśli scena z czwartego aktu *Horacjuszów*? tego nie wiem, ale sobie mówiłam: ha! jeżeli widok skaleczonej ręki u człowieka dość dla mnie obojętne takie mi sprawia wzruszenie, cóż ja powinnam uczuć przy opowieści o zamordowaniu mojego kochanka? Czy będzie to naturalnem jeżeli po mojem zwiędłym *niestety!* upadnę na przygotowane tuż obok mnie krzesło i tylko twarz w dłoniach skryję, i boleść moją objawię kilkakrotnem westchnieniem, łkaniem dobrze lub miernie udanem? Mogłaby znaleźć się stosowniejsza chwila do zemdlenia? A więc, gdybym moje dzisiejsze omdlenie tam wprowadziła?

I zaraz w myśli odtwarzając wszystkie szczegóły swojego wzruszenia, przypomiwała sobie z kolei każdy ze swoich gestów, swoją postawę, sposób czepiania się o meble, ostatnie uczucie omdlenia, nawet pierwszy ocknienia moment a wieczorem powtórzyła to wszystko przy grzmiących oklaskach, za któ-

re może przebaczyła rabusiowi, iż rękę przyjaciela uszkodził.

Wracam do mojej tragedji. A więc zaczęły się próby w teatrze. Tam panna Rachel obok przedziwnego daru postrzegawczego przyniosła jeszcze cenniejszą zaletę, a również właściwą artystom pierwszego rzędu: dawała wyborne rady. Jednakże nie miała podstawowej nauki, ani wielkiej gruntowności w rozumowaniu, lecz instynktownie przez intuicję prosto trafiała w słabą stronę. Zawdzięczam jój bardzo korzystne zmiany w moim utworze. Dowiodła mi iż jedna scena potwornej hipokryzji odejmuje całe współczucie dla roli Medei: wyrzuciłem tę scenę. Lecz uczucie jój nie zawsze się tak jasno wyrażało. Często sama ich nie znała, na usilne dopytywania dawała powody nie nie znaczące, a jednak miała zawsze słuszność.

Odbyliśmy ośm prób w teatrze z wielkiem powodzeniem tak ze strony jój talentu, jak ze strony pilnej dokładności. Trzeba bowiem wiedzieć iż punktualność nie mieściła się w liczbie przymiotów wielkiej artystki, lecz znalazłem środek by ją do niej na ten raz nakłonić.

Pierwszego dnia kiedy się spóźniła, za wejściem jój dobyteł zegarek i odprowadziwszy ją na stronę, rzekłem:

— Jak to być może aby ko bieta rozumna jak pani mogła być nieakuratną? Wszakże to bardzo złe wyrachowanie.

— W czem złe wyrachowanie?

— Jak najgorzej — odrzekłem. Wiesz pani na co się czas obraca czekając kogoś... na obgadywanie oczekiwanego. Otóż tedy, od trzech kwadransy czekamy na panią.. proszę osądzić! Potem, zechciej przejrzeć się w zwierciadło: twarz zaczerwieniona w plamach, jak u kogoś co biegł z pośpiechem, wcale pani ładnie nie wyglądasz! Oto więc drugi błąd kapitalny. A dalej na uniewinienie spóźnienia, musisz pani nakleić mnóstwo drobnych kłamstw którym nikt nie uwierzy, a które wielce kosztować będą osobę tak szczerą jak pani! (Do tego stopnia wprowadziła ją nie była, ale chciałem ją wbić w ambicję). W ostatku, błąd czwarty, poczucie się do winy podziela nieco na nerwy, próba pójdzie nie ze wszystkim dobrze, będziesz pani to sama czuła, będziesz czuć że inni to dostrzegają, i że nie są temu tak bardzo nieradni... to jeszcze więcej panią podrażni i grać będziesz zupełnie źle. Wierzą mi pani, przez samo poszanowanie dla swego talentu powinnaś być akuratną.

Od dnia tego przybywała zawsze pierwsza, a ja sobie po cichu mówiłem że dla przedstawienia tragedji przyda się niekiedy być trochę autorem komicznym.

Pełen dobrej otuchy do dziewiątej dobiełem próby; w sercu mi było rażno i wesoło, nie lękałem się niczego. Aż tu kwadrans upływa, panna Rachel nie wchodzi, pół godziny, trzy kwadransy, a jój jak niema tak niema. Biegnę sam do niej. Wchodząc widzę że tu coś ważnego, szczęściem odgadłem wnet co się święci. Zauważyłem już był pewne właściwe jój dziwactwo. Ta kobieta która tylko tryumfy znała, nie miała wiary w siebie, a ztąd i w drugich mieć jój nie mogła. Krytyka pierwszego lepszego mieszła jój szyki, stropiła w sądzie o dziele lub o własnej grze, na pierwszym przedstawieniu najlżejszy objaw nieprzychylny zbijał ją z toru, porażka zabiła ją ze szczerem. Nieraz śmiałem się z niej że do Napoleona podobna, bo nie umie przegrywać. Tak samo, często, nawet wśród prób rozpoczętych napały ją paniczne strachy.

Kiedy więc teraz przybyłem do niej, zaraz poznałem że mam do czynienia z podobnego rodzaju uczuciem, i rzekłem bez ogródki.

— Widzę że się Pani boisz.

— Otóż prawda, — odpowiedziała, — tak jest, przyznaję że się boję.

— Ale czegoż tu się bać?

— Wiesz pan, — mówiła z tą jasnością wyrażenia i rozsądku, które do liczby jój wdzięków należały, pan wiesz że pochlebstwo głowy mi nie zawróci, i że siebie nie łudzę...

— Wiem że Pani jesteś aż nadto skromna..

— To nie zbyt uczona skromność, ale ja znam siebie, wiem co mogę a czego nie potrafię. Otóż odczytałam pańskie dwa akta ostatnie, i widzę że rola moja pełna ruchów nagłych i gwałtownych. Mam biedz ku moim dzieciom, porwać je, unosić, wydzieierać ludowi, ta żywość akwi nie dla mnie. Wszystko co się wyraża grą fizyognomii, postawą, gestem

umiarkowanym, to ja umiem oddać, ale tam gdzie się zaczyna wielka i silna mimika, tam już mój talent wykonania nie starczy.

Uwaga ta zastanowiła mię, bo była trafnie wyrażoną i po części prawdziwą. Ale się tylko uśmiechałem i rzekłem:

— Wtedy bym obawy Pani podzielał, gdybym zapominał to co mi z pamięci nigdy nie wyjdzie.

— Cóż takiego?

— Coś mi Pani sama opowiadała o czwartym akcie *Horacjuszów*. Artystka która znalazła i wykonała tę pantomimę, taka artystka potrafi wszystko!

Trochę przesadzałem, gdyż wielka różnica zachodzi między tamtą akcją a gwałtownością Medei, lecz miałem nieplonne przeświadczenie iż ze wszystkich ludzkich chorób najłatwiejsze są do wyleczenia choroby skromności. Wspomnienie to na dobre wywołało ukoilo lekliwość panny Rachel, i na drugi dzień rozpoczęły się na nowo próby... a trzeciego dnia przerwały się na zawsze!..

Cóż znów zaszło nowego? Oto bajecznie korzystne warunki ofiarował jój Petersburg i odtąd już cierpieć nie mogła mojej tragedji, która jój była jedyną zawadą do odjazdu. Minister skłonił się do udzielenia pozwolenia na zerwanie wszelkich względem mnie zobowiązań.

Pobiegłem do niej.

— Pani nie ma, pani wyszła. Byłem nato przygotowany; powracam wieczorem.

— Pani niezdrowa. I tego się spodziewałem.

Nazajutrz występowała po skończonej sztuce wchodząc do swojej loży zastała mię oczekującego na jój przyjście. Drgnęła lekko na mój widok, co do mnie byłem jak najzupełniej spokojny.

— Pani porzucasz rolę Medei?

— Tak jest, panie.

— Dla czegoż to?

— Zbyt jest gwałtowna.

— Nie więcej jak rola Kamilli.

— W drugim akcie są przejścia za nagłe z wściekłości do płaczu i *vice versa*; ja tego nie potrafię.

— Ale ja potrafię i nauczę panią.

— Rola ta cała zasadza się na uczuciu, którego nigdy na scenie nie wyrażałam.

— Tem lepiej. Wielcy artyści nie powtarzają się.

— Kto mi zaręczy iż potrafię dobrze oddać miłość macierzyńską?

— Własne pani uczucie matki. Siłą twego talentu zdolną byłaś pani przejąć się nieznanemi sobie namiętnościami, nienawiścią, zemstą, okrucieństwem, a nie mogłabyś wyrazić tego co w sercu twojem wyrte? Zapominasz pani żem cię widział wśród twoich dzieci?..

Była nieco wzruszoną!..

— Wiesz pani co? — dodałem z mocą, — porzucmy próżne wybiegi, a mówmy bez ogródki. Pani chcesz jechać. Błysnęły ci przed oczy obiecanie skarby i nowe tryumfy i dla nich o wszystkim zapominaasz... Bardzo to rzecz naturalna, jesteś kobietą, jesteś artystką, nie mogę tego mieć za złe. Nie byłabyś pani może tą niezwyčajną aktorką dla której podziw nasz granic nie ma, gdyby cię nie napadały te gorączki wyobraźni. I nie wiem czy miałbym odwagę, walczyć przeciw pani samój! Ale za artystką stoi ktoś wielce znakomity, którego powinnością hamować te fantazje, a który je popiera, który dopomagając pani do nieuszanosowania twoich obowiązków sam własne depcze. Tam to mój przeciwnik i temu nie dam się pokonać.

Lekki wzgardliwy uśmiech był jój odpowiedzią.

— A, tak, rozumiem, — dodałem, — cóż tam jakiś autor tragedji w obec takiego dygnitarza i takiej artystki! Cóż on? marna nędzota. Zapewne, ależ ta nędzota jest przedstawicielem czegoś od was potężniejszego, godności piśmiennictwa, prawa!... A ponieważ traf losu wkłada na mnie urząd obrońcy moich kolegów, przeciw nadużyciom tych pań które są tylko naszymi tłumaczami, i tych panów którzy nam winni opiekę i poparcie, otóż ja przed tak ważnem nie cofnę się zadaniem. Weźmiesz się pani napowrót do swojej roli? odpowiedz tak czy nie?

— Nie!

— Niechże i tak będzie... a więc wojna!..

Nazajutrz posłałem urzędowe wezwanie do Teatru francuzkiego, a po dwóch dniach rozpoczął się proces. Niedługo wygrałem sprawę. Ale na drugi dzień minister wdał się między mnie a sędziów, zacytował rozporządzenie, które nie bywało nigdy zastosowane,

zarzucił mi uchybienie, którego się nigdy nie dopuściłem, i pomimo starań i talentu mego adwokata, odjął mi prawowitych moich sędziów, a zaprowadził przed Radę Stanu i przegrałem! Takie rzeczy możliwymi jeszcze były w roku 1853, ale nie dziś Bogu dzięki; czasy podobnych spraw dla piśmiennictwa minęły i nie powrócą już nigdy. Śmiało wyrzec mogę nigdy! Postanowienie w tym względzie nie z pojedynczej wychodzi woli, ale z ogólnego poczucia; bo to co nazywają siłą biegu rzeczy, ja to zowią siłą ducha, to jest nieprzewidywalnym działaniem idei sprawiedliwych i szlachetnych, które gdy się w sercach zrodzą, rosną, krzewią się aż w końcu i tych osiągną przeciwko którym powstały.

W owym czasie jedna tylko słynna artystka tragiczna odbiła odemnie ten cios srogi, pomściła mię za tę niesprawiedliwość. Nie mogę pominąć sposobności powiedzenia słów kilku o tej oryginalnej a potężnej postaci, tem bardziej iż podziw dla niej zaczyna wychodzić u nas z mody, jest to w zwykłym porządku rzeczy. Skoro się pojawiła pani Ristori imienia jej używano dla poniżenia panny Rachel. Gdy ta ostatnia zniknęła, wspomnienie jej służy do napasenia na panią Ristori! Są na świecie ludzie którzy nie mogą wznieść posąg inaczey jak obalając inny. Tylko na ruinach umieją budować.

Gdybym miał panią Ristori jednym określić wyrażeniem rzekłbym: jest to waleczna artystka! Prawda iż teatralne boje bardzo wczesnie rozpoczęła. W jakimże wieku ukazała się ona po raz pierwszy na scenie?... miała dopiero ośm dni! We Florencji grano *Bakalarza w kłopotcie*, i zamiast lalki z kartonu podano profesorowi do piastowania maleńką Adelejdę Ristori, która przed tygodniem na świat przyszła, na górnym piętrze teatralnego gmachu. Ojciec jej był pierwszym aktorem w trupie. Debiutując tak młodo miała czas przyzwyczaić się do sceny.

Pani Ristori i pani Malibran, to dla mnie dwa najpiękniejsze typy jak je zowią, artystek mężnych, takim przeciwności dodaje bodźca, walka podnosi je, i rade bywają spotkać się z publicznością oporną, bo wtedy siłą w nią wszczepiają wiarę, która w nich samych leży.

W ogólności inne bywa usposobienie w artystach francuzkich. Znane ich gorące przywiązanie do owego małego gronka słuchaczy niechybnych, wiernych rycerzy, do tego bractwa z pod żyrandola. Jaką przyjemność mogą znajdować w płatnych oklaskach tego podobno nigdy nie pojme... A wiedzą przecie dobrze że są płatne, ba! nieraz sami je opłacają.

Ależ nawet sama panna Rachel przyznawała iż wtenczas czuła się spokojną, szczęśliwą, gdy na parterze wprost siebie widziała twarz... Króla Rzymian. (*) Cóż nam tak wiele Rzym zawinił, że takie miano tym się rycerzom dostało?

Pani Ristori występując po raz pierwszy w Odeonie, w mojej obecności zażądała od dyrektora, ażeby najęci klaskacze cicho byli.

Ten ich bezecny trzask mechaniczny, mówiła drażni mi nerwy, nadto publiczność mi zasłaniają nie mogę jej rozróżnić, a ja właśnie chce widzieć, z nią mam sprawę. Jeżeli się publiczność wzdraga, tem lepiej, poprobujemy się z sobą: jeśli wygwizdże, tem gorzej, widać zem na to zasłużyła, ale przynajmniej kiedy mi przykłaśnie mogę sobie powiedzieć: otóż to oklaski, które sobie rzeczywiście zdobyłam!

NATALJA BORISÓWNA

DOŁGORUKOWA.

POWIEŚĆ

P. Furmanna.

(Dalszy ciąg.)

KNIAZIE DOŁGORUKOWIE.

Z upadkiem Mienszykowa, cała władza jakiej używał, przeszła w ręce Dołgorukich.

Pomiędzy członkami tej starożytniej i znakomitej rodziny, najpotężniejszym był książę Aleksy Grygorowicz, nie dla zasług ani zdolności, lecz przez przyjaźń jaką czuł młody monarcha, dla jego syna.

Nienawidząc wszystko co cudzoziemskie, wszystko co nowe, książę Aleksy, doszedł pierwszeństwa, przez intrygi i słabość Cesarza. Sledził on każdy krok, podsłuchiwał każde słowo Monarchy, bracia jego, książę Jan i Siergiej Grygorowiczowie, szambelanowie dworu, zwracali bystre oko na wszystko co się działo na dworze. Ale najwierniejszym i najzręczniejszym pomocnikiem, księcia Aleksy, był syn jego Jan, który dał już dowody swojej przebiegłości, w sprawie Mienszykowa. Będąc prawie równiekiem Cesarza, książę Jan, przepędzał z nim cały czas wolny od zajęć, uczestniczył we wszystkich jego zabawach, obmyślał coraz to nowe rozrywki, a przez swoją usłużność i wesoły humor, zupełnie oświadczył sercem Monarchy i książę stał się dla niego tak niezbędnym, iż nie rozłączali się ani dniem, ani nocą.

Pokochawszy syna, Piotr II był nadzwyczaj łaskawym i dla ojca. Ale zwyczajnym trybem wszystkich spraw ludzkich, nieograniczona duma i potęga Dołgorukich, doprowadziła ich do tego samego przeznaczenia, jakiemu uległ Mienszyków, to jest że i oni narobili sobie mnóstwo nieprzejednanych wrogów. Niepomni na świeży, smutny przykład, Dołgorukowie, podobnie jak i Mienszykow, pogardzali temi wrogami, a zaufani w łasce Monarchy, z szalonym zaślepieniem dążyli w przepaść.

Zaraz po śmierci Imperatorowej Katarzyny I, Piotr II chciał jechać do Moskwy, na koronację. Ale Mienszyków, ciągle odwoził go od tego zamiaru, z obawy, że w Moskwie nie będzie mógł tak nieustannie czuwać nad młodym Monarchą i oddalać od niego swoich wrogów. Po upadku Mienszykowa, wyjazd do Moskwy naznaczony został w Styczeniu 1728 roku.

Od tej chwili zaczyna się dla Piotra epoka zabaw i przyjemności.

Pożegnany głosnemi wystrzałami z licznych dział, wyjechał z Petersburga 9 Stycznia. Miłość poddanych dla monarchy była tak wielka, że przez całą drogę do Moskwy, naród, niezajęty jeszcze swego młodego władcy, tłumnie cisnął się koło cesarskiej karety, aby się nasycić widokiem jego oblicza i z zapalem okazywał mu swoje przywiązanie.

W Nowogrodzie i Twerze przygotowano dla cesarza wspaniałe przyjęcie i uroczystości, postawiono bramy tryumfalne; arcybiskup Teofat witał i błogosławił młodego Monarchę, jako nadzieję Rosji.

Dołgorukowie dokładali wszelkich starań, żeby w umyśle Piotra zatrzeć pamięć Mienszykowa, a przez huczne często szkodliwe dla zdrowia zabawy, skłonić go, do znieawidzenia poprzedniego, cichego i spokojnego życia, — poświęconego nauce i pożytecznym zajęciom.

Odurzony zabawą i rozkoszą Piotr, nie dojechałszy siedmiu wiorst do Moskwy, zasnął i musiał zatrzymać się w domu Grudzińskiej carycy, gdzie chorował przeszło dwa tygodnie.

Nakoniec 4 Lutego, nastąpił uroczysty wjazd Cesarza do starożytnej Stolicy. Z trzech stron Moskwy, zbudowane były tryumfalne bramy, obite kosztownymi makatami, przybrane dywanami i ozdobione amblematycznymi obrazami.

Moskiewski Generał Gubernator, książę Romodanowski, wprowadził Cesarza do Kremla, przez bramę Zbawiciela. Moskwa odżyła i zaczęła podnosić się z upadku, w jakim znajdowała się, od czasu założenia przez Piotra I, nad brzegami Newy, nowej stolicy, ożywionej jego obecnością i niezmordowaną czynnością.

Wielu z magnatów, nienawidzących Petersburga, już to dla jego niemieckiej nazwy, już też, dla nieprzebytych błot, na których został wzniesiony, serdecznie cieszyli się z odrodzenia Moskwy wówczas hucznej, wesołej i bogatej. Koronacja Piotra II odbyła się 26 Lutego. Uroczystość ta odznaczyła się licznymi łaskami, które spadły głównie na rodzinę Dołgorukich.

Książę Bazyli Łukicz i Aleksy Grygorowicz mianowani byli członkami Najwyższej rady; książę Bazyli Włodzimierzowicz, generał feldmarszałkiem, młody książę Jan Aleksiejewicz, ulubieniec Cesarza, Wielkim Szambelanem i kawalerem orderu Świętego Andrzeja.

Przychylność Cesarza dla Dołgorukich wzrastała z każdym dniem, a jednocześnie wzrastała także zazdrość i nienawiść znakomitych rodzin.

W ogóle z upadkiem Mienszykowa, dwór stał się placem boju dla współzawodników dążących do osiągnięcia władzy.

Jeżeli spojrzemy na obecne postępowanie, pisał w owym czasie Paszkow do Czerkasowa, jakich że marnych środków używają ludzie, jedni względem drugich, dziś mówią to, jutro co innego; wielu jest takich którzy chodzą a nie widzą, inni widzą a nie słyszą. Nowi ulubieńcy sprowadzili takie zamieszanie, że z obawą bywamy na dworze; jeden drugiego się lęka a pewnej nadziei nie ma nigdzie.

Sam tylko czternastoletni Cesarz był spokojny wśród swego trwożliwego dworu, nie troszcząc się wcale o niepokój swoich dworaków, a nawet nie domyślając się istnienia stronnictw. Nudził się wtedy tylko, kiedy z urzędu musiał przestawać z Ostermannem i słuchać nudnych jego nauk.

Posiadały nad sprawami minister, często ośmielał się mówić prawdę swojemu koronowanemu wychowawcowi.

Piotr rzucił mu się na szyję, ścisnął, całował, nazywał go swoim prawdziwym, wiernym przyjacielem, przyrzekał zająć się jakakolwiek pracą, ale po jego wyjściu, wracał do dawnego trybu życia.

Piotr II był obdarzony od natury bystrym umysłem, żywą wyobraźnią, duszą dobrą i szlachetną, ale na nieszczęście otoczony był ludźmi, którzy nie umieli, albo raczej nie chcieli skierować świetnych zdolności młodzieńca do błogich celów.

Pan wszechwładny swojej osoby i swojej woli, a według słów księcia Lirya, ówczesnego Ministra Hiszpańskiego, w 13 roku życia, będąc już młodzieńcem, pod względem siły ciała, Piotr nie miał przy sobie nikogo, ktoby się starał hamować popęd jego do rozkoszy, sam zaś skłonny do wszystkiego co dobre, zdolny do wszystkiego co wzniosłe, prawdziwy wnuk Piotra Wielkiego z umysłu i zdolności, nie miał jednakże olbrzymiej wytrwałości i siły woli, swego nieśmiertelnego dziada.

Taki był stan rzeczy na dworze, kiedy Natalja Borisówna Szeremietjew, po śmierci matki, przybyła na mieszkanie do Moskwy, do starszego brata swojego.

PRAWOŚĆ I POCHLEBSTWO.

Było to chłodnego, zimowego poranku. Przed pałacem Leforta, w którym mieszkał Cesarz Piotr II stało kilka par sanek, zaprzężonych i przybranych z półeuropejskim i półazjatyckim przepychem. Ręczne konie, dawno już wyprowadzone ze stajni, rżały niecierpliwie, uderzając kopytami po zmarzłym śniegu.

W pewnem oddaleniu od pałacu, stała gromadka przechodzących i ziewając w milczeniu, ze smutkiem niejako spoglądała na bogate sanie.

— O! och! zawołał z głębokim westchnieniem jakiś starzec stojący przed gromadką.

Młody wyrostek, w ubraniu kupieckiego zastępcy, stojący blisko starca, obejrzał się i trąciwszy go z lekka, rzekł półgłosem:

— Dość już tych westchnień! Pamiętajcie Sydryusz, że kiedykolwiek za to wzdychanie, ściągniecie sobie biedę na głowę.

— Ach! jakże tu nie wzdychać? Otóż patrz, znowu konie gotowe, powiozą gdzie niebądź na polowanie, nasze jasne słoneczko... nawet i przypatrzeć mu się dobrze nie dadzą.

— Taka to widać jego cesarska wola.

— Ale czy tylko pewno Jego wola? Mnie się widać, że to niedobrzy ludzie oslepili, omamili naszego ukochanego, odwozają go od wszystkiego co dobre. Podług mnie, po co daleko jeździć na polowania, dzikie zwierzęta znajdują się tuż pod bokiem, a nie w głuchym lesie.

— Bóg z tobą, staruszk. Takie rzeczy wygadujesz, że jak nie sprowadzisz sobie nieszczęście na głowę, powiedział młody chłopiec oddalając się od starca.

— Nie, ty dobrze mówisz, starcze! odezwał się jakiś poważny, niemłody już mężczyzna, w bogatej szubie i futrzanej czapce, zbliżywszy się nieznacznie do starca i trącając go w ramię, dzięki ci za prawdę, nie zapomnę twoich słów i powtórzę je Cesarzowi. Posłyszawszy to gromadka rozsypała się w różne strony, a starzec zdjąwszy czapkę, skłonił się nisko bojarowi i rzekł:

— Wola twoja, panie, słowa moje są słowa starca! Ale tak ciężko na sercu, że czasem trudno powstrzymać języka.

— I dla czego? Za prawdę miło i śmierć ponieść. Ale Bóg miłosierny! jakoś to będzie lepiej, rzekł bojar i skłoniwszy głowę, poszedł wprost do pałacu.

*) Jest to przywódca tak zwanych płatnych klaskaczy.

Przegląd teatralny.

Miłość i Dyplomacja; komedia w dwóch aktach
Oktawiusza Feuilleta, z francuzkiego tłumaczona.

(Pierwsze przedstawienie dnia 10 Czerwca r. b.).

Dzisiejsi dramaturgowie, a zwłaszcza francuzcy, którym chodzi o danie publicznej lekcji moralności swemu społeczeństwu w kwestji małżeńskiej, gubią się w odcieniach przyczyn wiodących do rozstroju związków, i w samym charakteryzowaniu stopnia winy, ciężającej na żonach zstępujących z drogi obowiązku. W sztuce naprzykład powyższej, *Karolina*, żona wysokiego urzędnika w ministerstwie francuzkiem spraw zagranicznych, pana *de la Roseraire*, nudzi się i cierpi niezmiernie na tem że mąż jej, od rana do nocy bezustannie pochłaniany sprawami publicznymi, od dnia ślubu nie miał dla niej ani chwili czasu, i pomimo wielkiej dla niej miłości, zaniedbał ją zupełnie. Otóż przyczyna dla której *Karolina*, mimo że jest najszlachetniejszych zasad kobietą, nie nie mówiąc mężowi, bierze a przynajmniej znajduje się w trakcie wzięcia sobie kochanka.

Są w tem odrazu dwa nonsensa, których widać i najlepsi mistrze ustrzedz się nie mogą. Czyż podobna przypuścić, ażeby i najbardziej zajęty urzędnik nie był przeciw człowiekiem, żeby był tak kochającym i zazdrosnym jak *Roseraire*, i nigdy żonie nie dał najmniejszego dowodu miłości i zajęcia, żeby tak absolutnie, całymi latami bez wyjątku jednego dnia, obcym był domowi swemu, jak to sam o sobie powiada. I pocóżby się taki człowiek żenił? Jest to przesada, naciąganiem, niby dla wytłumaczenia zbrodni *Karoliny*. Lecz ta i tak nie jest wytłumaczona. Bo znowu, czyż kobieta uczciwa, czując się nieszczęśliwą z przyczyny męża w którym ma zupełne zaufanie, nie od niego raczej rozpocznie swoje uzalenia? Czyż to nie jest rzecz najprostszą i najnaturalniejszą, że ona jemu naprzód przedstawi to co ją dolega i to czego pragnie, czego wreszcie ma prawo wymagać? Tu jednak rzecz się ma przeciwnie: mąż i żona są ludźmi uczciwymi i rozsądnymi, a nie porozumiewają się z sobą, nie mówią do siebie ani słowa: mąż, wierny swjej małżonce aż do ideału, ani się domyśla że żona jego nie jest szczęśliwą, będąc zaniedbaną. Żona niczego więcej nie pragnie by być najwierniejszą i najszczęśliwszą, tylko ażeby mąż nie tak absolutnie ją zaniedbywał; nie występuje jednak ze swymi prawami w obec męża, tylko szuka dystrakcyi na drodze wiodącej wprost do hańby. Czyż takie położenie jest podobnym? Ono jednak stanowi nieunikniony związek komedji, *Miłość i Dyplomacja*. Gdyby to polski autor wyszedł z tak fałszywego punktu, miałaby za swoje dla obcych jesteśmy względniejsi, i słusznie.

Baronowa *de Vitre*, ma syna *Alberta*, którego chciałyby umieścić przy ambasadzie madryckiej, dla tego że zdaje się jej, iż ukochany jedynaczek zanadto wdał się w życie paryzkie. Lecz mimo silnego protektora w osobie *Roseraira*, który jest chrzestnym jej synem, Baronowa doznaje w swym zbawionym projekcie jakiegoś silnego oporu, który niewiadomo z kąd pochodzi. Przyczyną zaś niepowodzenia jest to, iż tym przyszłym pocieszycielem *Karoliny* ma być właśnie *Albert*, i ona chcąc go sobie zapewnić, wpływem swoim tamuje mu drogę do ambasady. *Miłość* ich dotąd jest wprawdzie dopiero w fazie czysto sentymentalnych związków, materialnie nieszkodliwa, ale fakt zatrzymywania *Alberta* zanadto kompromituje charakter *Karoliny*. Jest to rys biegłej już kometki, nie zaś kobiety truchlejącej pod nieprawem uczuciem, nieświadomej złego, za jaką autor chce przedstawić *Karolinę*. Ale nie rozszerzajmy się: cała sztuka ma zawiele niekonsekwentności, ażebyśmy nad każdą szczegółowo się rozwodzili. Baronowa, wiaćwszy na spowiedź syna, dowiedziała się o jego niewinnej miłości, o jej charakterze, prócz osoby. Powiedział jej tylko *Albert*, że urządził z nią rodzaj telegrafu do porozumiewania się z ukochaną, a tym ma być pierścień z rubinem, który żona ma zakładać mężowi na palec, jako wskazówkę pewnych swoich myśli i pragnień. Słyszał kto podobny nonsens.... Żona, która prawie nie widuje się z mężem, zakłada mu pierścień jako informację dla kochanka! Syn, któ-

ry przed matką chce utrzymać tajemnicę, wypowiada jej ten szczegół, gdy nieszczęśliwy mąż lada chwila może jej się przedstawić, jako tak blizki znajomy, prawie krewny, a pierścień na palcu zobaczyć łatwo, tembardziej też obecnie, gdyż to dzieje się na balu w pałacu ministerstwa.

Baronowa jest przezacną niewiastą, kocha syna ale mu nie schlebia, nagania go za jego postępowanie, chciałyby go uratować a z nim i jego ofiarę. A kiedy właśnie przemyśliwa nad sposobami, rubin wchodzi do sali, co Baronowę uderza okropnym ciosem. Co znaczy ten pierścień na palcu *Rosairera*, kiedy żony jego niema na balu? Prawdopodobnie schadzka w jej mieszkaniu z *Albertem*. Ażeby temu zapobiedz, Baronowa pod pewnym pretekstem odejmuje pierścień *Rosairerowi*, a widząc palec pusty wchodzący *Alfred*, unosi się radością w obec oburzonej matki, tłumacząc jej w naiwności swjej, że właśnie nieobecność pierścienia ma znaczyć schadzke, gdyby był na palcu męża, znaczyłoby to że skrupuły przemogły, że cnota w sercu *Karoliny* zwyciężyła, i *Albert* pojedzie do Madrytu. Strapiiona matka żałuje że nieświadomie syna wprowadziła w błąd, lecz znajduje nieprzewycięzoną przeszkodę do objaśnienia go, musi odejść, i zleca tymczasem *Roserairovi*, ażeby go nie wypuszczał.

Otóż nawet i p. Feuillet używa tak nędznych, tak, z żadną logiką i prawdopodobieństwem związku nie mających środków, aby zaprowadzić intrygę i stworzyć sytuacje komiczne. Uszłoby to w farsie, ale tu i samo zadanie i traktowanie zbyt jest poważne, aby godziło się ze środkami na jakie zdrowy rozsądek się wzdryga. Czyż ta cała scena, wrzająca życiem na deskach teatralnych ma za sobą jakąkolwiek logikę? Bo i cóż następuje dalej? Oto *Roseraire*, ulitowawszy się nad rozdrażnieniem kochanka, któremu wie o co chodzi (z wyjątkiem, naturalnie osobą) wypuszcza go, a potem przestraszony słowami i boleścią zaalarmowanej Baronowej, która mu wyrzuca jego postępek, biegnie szukać *Alberta*, znajduje go, zawozi do siebie do domu i z kolei oddaje pod straż *Karolinie*, a sam jedzie napowrót na bal. Technie to już i niedorzecznością i skandalem, nie tylko farsą.

Karolina dowiaduje się przyczyn tego nieporozumienia, przyjmuje *Alberta* zimno, jednak nie bez pewnej czułości, a swoją drogą ukrywa go za kotarą kiedy Baronowa, jak anioł-stróż rodzinny zjawia się w jej pokoju. Baronowa, będąc uprzedzoną, domyśla się ukrycia *Alberta*, — i w przepysznym scenie wypowiada położenie rzeczy *Karolinie*. Scena to znakomita, godna być pomieszczoną w lepszej architekturze. Baronowa nie mówi wprost do *Karoliny* jako do niej samiej, ale ta czuje iż ona wie o wszystkim, i ze szczeremi łzami żalu i wdzięczności pada w jej objęcia. Baronowa w delikatny sposób ułatwia jej niby niewidzialne wypuszczenie *Alberta*, i wyprasza list do ministra za wysłaniem go do Madrytu. Anioł stróż dokonał dzieła, wszystko byłoby się zatarto bez rozróżnienia serca mężowskiego, ale szatan się wmięszal, i tym razem szczęśliwie dla honoru sztuki. *Albert* wyszedł z boleścią, z rozpaczą i w tej chwili napisał list do *Karoliny*, żądając schadzki na jutrz. List ten, oczywiście napisany był dlatego, ażeby dostał się do rąk męża, to już tysięczny i pierwszy w komedji. *Roseraire* przybywa jak z trumny wyjęty, Baronowa, wiedząc że rzeczy już skończone, chce mu oszczędzić boleści, i udaje jakoby ten list pochodził od niej dla zastraszenia go w jego lekceważeniu obowiązków męża. Lecz *Karolina* nie przyjmuje tego szlachetnego kłamstwa i przyznaje się do winy, zaprzysięgając zarazem mężowi, że ta była pierwszą i będzie ostatnią, zostawiając mu wybór rozłączenia się lub przebaczenia. Tu dopiero następuje porozumienie się wzajemne męża z żoną i wzajemne ocenienie swych win i zalet. Naturalnie, rzeczy załatwiły się z zadowoleniem wszystkich, prócz *Alberta*, którego odległością Madrytu od Paryża oddzielono od *Karoliny*.

Otóż treść i wartość sztuki, która jest mieszaniną prawdy i fałszu, komizmu, farsy i wzniosłości. Jako utwór sceniczny, z początku nieco rozwlekła i nudna, w połowie już pierwszego aktu nabiera coraz więcej życia, które już nie ustaje ale wzmaga się aż do końca. Pełna pięknych, eleganckich i dowcipnych myśli, świetniejąca stylem i obrazowością, pod literackim względem. Jako charakter, Baronowa *de Vitre* jest, rzec można, matem arcydziełem; to tryumf sztuki i zarazem wielka zasługa p. Niewiarowski, która charakter ten odlała wiernie i z wdziękiem, dawno

— Héj starcze! zawołał jeden ze świadków tej sceny, stojący w znacznem oddaleniu, czegoż jeszcze stoisz?

— A czemuż nie mam stać?

— Uchodź pókiś cały.

— Nie mam potrzeby uciekać, odpowiedział starzec spokojnie. Pozostanę, żeby choć chwilę popatrzeć na nasze jasne słońce...

— Strzeż się, żeby cię deszcz nie zmoczył.

— Niech się dzieje wola Boska!

I starzec pozostał.

Tymczasem bojar, któregośmy widzieli, wchodzącego do pałacu, szedł prosto na pokoje Cesarzskie.

Piotr II dopiero co wstał z łóżka, choć było już po dwunastej godzinie. Rozumne i wyraziste oblicze młodego Monarchy, było blade, znużenie przebijało w każdym jego ruchu. Kilku kamerdynerów było zajętych koło toalety Cesarza.

O parę kroków, pod oknem, stał książ Jan Aleksiejewicz Dolgoruki, wspaniały i piękny młodzieniec, delikatnych i regularnych rysów twarzy. Natura hojnie obdarzyła księcia Jana, a przez swoje zdolności, mógłby stać się prawdziwie godnym szacunku narodu, gdyby żądza władzy jego krewnych, nie wybrała mu innej drogi życia, gładkiej, równiej ale przytem i bardzo ślizgiej...

— Gdzie dziś pojedziemy? Niedbale zapytał młody Cesarz, patrząc w lustro.

— Do wsi Izmajłowa, najjaśniejszy panie, odpowiedział książ Jan, mechanik Waszjej ces. mości wznosił tam nowe lodowe góry.

— A to bardzo wesołe, ale przecież nie podobna dzień cały staczać się z gór. Cóż więc potem robić będziemy.

— Co Wasza cesar. mość rozkazać raczy!

— Co to się znaczy? zapytał Piotr obracając się do księcia Jana i baczenie wpatrując się w niego, ty dziś zdaje się nie jesteś w dobrym humorze, Janie?

Książ milcząc opuścił głowę.

— Milczysz? troskliwie zawołał cesarz; co tobie?

— Nie śmiem być w złym humorze, w obec Waszjej cesarskiej mości, mogę być tylko zmartwionym, a to dla tego, że ani w radości, ani w smutku człowiek nie jest panem swjej woli.

— Jakież ty masz zmartwienie? niespokojnie pytał cesarz.

— Najjaśniejszy panie! nie uważaj słów moich za skargę, ale lepiej uwolnij mnie, oddal, od swjej tak dla mnie, drogiej osoby....

— Ciebie oddalić? zawołał Piotr, szybko zbliżając się do księcia Jana ciebie? mego jedynego przyjaciela?

Książ Jan z uczuciem ucałował podaną mu rękę. Trzeba przyznać, że chociaż był narzędziem swoich krewnych, to jednakże serdecznie kochał młodego monarchę.

— Dziękuję, ci najjaśniejszy panie! zawołał Dolgoruki z wdzięcznością, lecz za twoje łaski dla mnie i dla moich krewnych, wszystkich nas oczerniają i obrażają....

— Któż jest tak śmiały?

— Osoby silne, znakomite, zbliżone do dworu, naj. panie!

— Wymień mi choć jednego z nich, a zobaczysz....

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł dyżurny szambelan.

— Aleksander Lwowicz Naryszkin, prosi o pozwolenie stawienia się przed waszą cesarską mością, zawołał szambelan. Piotr niecierpliwie wzruszył ramionami:

— Jakież nudy! dodał; ten niedźwiedz wiecznie mruczy....

— On nie tylko mruczy ale i kasa..... wyrzekł książ Jan pół głosem.

— A więc to jeden z tych?... zapytał żywo cesarz.

Książ milcząc skinął głową.

— Wybornie! zawołał Piotr i oczy jego zabłystry gniewem. Zawołać Naryszkina.

— Dla Boga! Naj. panie... wyrzekł młody Dolgoruki z pewną obawą, co zamysłasz uczynić?

— Zaraz zobaczysz i usłyszysz, odpowiedział Piotr i dumnie się wyprostował.

(d. c. n.)

już ta artystka nie miała sposobności wykazać zasobów swego talentu z taką siłą i wyrazistością, jakich wymagała rola Baronowej de Vitre, to też zasoby te ocknęły się z całą świeżością. Zwrocić jednak musimy uwagę że w roli tej, która jest niesłychanie męczącą, wielostronną i długą, miejsca uczuciowe z mniejszą dokładnością oddane zostały przez p. Niewiarowską, niż miejsca swobodne i komiczne, gdyby cokolwiek jeszcze więcej skńczoności w niektórych ustępach patetycznych, byłaby doskonałość. Pani Bakałowiczowa coraz więcej dowodzi że nietylko naiwna, ale i dramatyczne role są udziałem jej talentu, z roli Karoliny wywiązała się ze wszech miar zadowalniająco, i pewni jesteśmy że każda rola tego rodzaju będzie nową tej artystki chlubą, umie ona nietylko być figlarną, ale i łzami swemi do głębi serca porusza. p. Rapacki stworzył piękny typ wysokiego urzędnika; niepospolicie trudna rola Roseraira wyszła z jego umysłu nadzwyczaj wykończoną, powiedzielibyśmy klasyczną.

X.

O UBIORACH.

Magazyny nasze przepelnione są w obecnym czasie gotowymi kostiumami letnimi, a więcej jeszcze pięknymi tkaninami w rozmaitym guście.

Kostiumy lekkie pikowe, kretonowe, żaknotowe i w ogóle letnie ubierają po największej części kosztownymi gipiurami Cluny lub skromniej, białymi muslinowymi falbankami, oszywanymi wazuchną walansienką. Sliczne takie kostiumy widzieliśmy gotowe w magazynie pana Hersego.

Jeden z nich biały pikowy miał trzy plisy pikowe na spodnicy, z pod każdej z tych plis z obu stron wychodziły na dwa palce szerokie falbaneczki z muslinu oszywanego walansienką. Bardzo zręczny i świeżutki kaftaniczek *frou frou* nieco do stanu wpadający, odpowiednio był przybrany.

Drugi z batystu surowego miał u dołu półłokciową falbanę; szerokie wstawki Cluny zakończone z obu stron piękną koronką w tym samym rodzaju, bogato zdobily ten kostium, dopełniony paletocikiem do figury, którego długa spodniczka w udatne festony podpinana, oprócz ubrania ze wstawki i koronki jeszcze pięknymi rozetami Cluny ozdobioną była.

Trzeci kostium do cienkiej żaloby przeznaczony, był z żaknotu popielatego w drobny czarny wermiszledek. Sześć falbanek mijanych z tego samego co suknia materiału i z białego muslinu, bardzo ubierały skromny ten kostium, do którego przeznaczony był zręczny do stanu paletocik muslinem i żaknotem suto i świeżo wyfalbankowany, kokardami z tyłu i na rękawach zakończony.

Gotowe kostiumy u pana Hersego są w cenie od rs. 15 do 60.

W magazynie tym znaleźliśmy bardzo piękny i liczny wybór okryć i paletocików koronkowych czarnych, które w miarę gatunku i wielkości w nader umiarkowanych cenach się sprzedają.

Rogówka czarna koronkowa slicznie upięć się może, bez żadnego rozcięcia i psucia koronki. Zazwyczaj podpinają okrycie z rogówki uformowane, dużymi kokardami z czarnego aksamitu lub materji. Przeznaczone do kolorowego kostiumu, można odpowiedniej barwy kokardami ubrać.

Ułożenia chustki koronkowej na modne okrycie, w każdym magazynie się podejmują.

Jako materiały na lekkie kostiumy widzieliśmy w magazynie pana Penkali bareże w różnych kolorach w kratkę 5 ćwierci szerokie na 50 kop. lokiec. Extra fort *cadrielle* bareż o wiele gęściejszy od poprzedniego na 60 kop. lokiec. Mohair na 75 kop. lokiec. Bareże zupełnie gęste mogące niejako welnianą suknię zastąpić na 90 kop. lokiec, szerokość jak zwykle wszystkich takich materiałów, 5 ćwierci wynosi.

Barège soie sliczna tkanina lekka i miękka 75 kop. lokiec.

Bardzo dobry, tani i mocny bo przerabiany grubszą nitką w kratkę materiał w rodzaju bareżu także w ciemnych kolorach, czarnym i brązowym na 45 kop. lokiec.

Valencia tkanina welniana nieco cięższa od bareżu używana na lekkie kostiumy na 50 kop. lokiec.

Toile laine w różnych kolorach na 55 kop. lokiec.

Toile chinoise bardzo modny wyrób na 75 kop. lokiec. Toile anglaise na 55 kop. lokiec, lekki i chłodny materiał.

Impériale w jasnych i ciemnych barwach po 75 k. lokiec.

Perkale w różnych kolorach i deseniach. Bardzo trudno dziś określić jaki deseń mniej więcej i jaki kolor najmniejszy, dużo jest perkali w pasy szersze, węższe, w fantazyjne desenie, bukiety rale, wielkie, rzuciki drobne, krateszki, a wszystko to świeże, firmą najpierwszych francuzkich fabryk i tegoroczną datą opatrzone. Perkale są w cenie od 18 kop. sr. do 35, w miarę szerokości i gatunku.

Sliczne są kretony à bordure na lokcie. Z jednej strony, blisko 7 ćwierciowej szerokości materiału jest szlak szeroki, na białem tle deseń koronkę imitujący, który na falbanki się oddziera, z drugiej węższy do ubrania tuniki kaftaniczka przeznaczony. Kreton bywa zazwyczaj koloru niebielonego płótna; cena 40 kop. sr. za lokiec.

Satineta rodzaj dymy kiprowanej, bardzo lekkiej i miękkiej, zupełnie fular jedwabny nasladująca na 40 kop. sr. lokiec. Satinety mają zwykle drobny desenik lub są w paski.

Organtyny znowu są dziś modne, lokiec po 50 kop. Piękna taka suknia bardzo przezroczyta strojna i gustowna slicznie ubiera młodą osobę.

Robe Baden-baden 10 rs. Strojny ten kostium ma od dołu spodnicę z gładkiego perkalu w obranym cieniu, na nią idzie tunika sliczną formą z muslinu białego w haftowane kropeczki z wrobionym szerokim szlakiem muslinowym także haftowanym w kropeczki w kolorze spodnicy.

Robe Valentine 6 rs. 25 kop. sr. Muslin biały w drobny rzucik, falbany w dwie girlandy z odpowiednich rzucikowi kwiatów, w różnych kolorach.

Robe americaine płócienne niebielone. Pasy do falban i tuniki w przeróżnej ciemnej barwie. Bardzo pięknie wyglądają czarne 8 rs.

Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć o znacznym wyborze parasolków damskich tanich i praktycznych, zwłaszcza na wieś do ogrodu lub na zamiejskie wycieczki. Parasolki te w cenie od 2 rs. są z jakiegoś materiału, środkującego między płótnem i perkalem podszyte fularem jedwabnym; laseczka mocna drewniana oryginalnością się odznacza. Inne parasolki w cenie 5 rs. bardzo są ładne i trwałe. Konieczne tak w podróży i u wód plety i szale, obficie także są sprowadzone do tego magazynu. Plety damskie i męskie, w różnych kolorach, w kraty szkockie i rozmaite od ceny 25 rs. szale kaszmirowe czarne duże, mięsiste czysto welniane od 12 do 25 rs. Himalaya chustki kwadratowe wielkie od 12 do 18 rs.

W magazynie pana Thonnesa są bardzo ładne welniane kostiumy gotowe z letnich tkanin, gustownie odrobione starannie i bogato przybrane, w cenie od 20 do 100 rs. Oglądaliśmy tam kilka gotowych kostiumów, które nas zachwyciły z takim wdziękiem i świeżością były wykonane.

Lilla sultane jasnego cieniu, miała pięć falbanek z białego muslinu oszywanego walansienką, środkiem tych falbanek dawane były rusze jedwabne wystrzygane w żabki, ciemniejsze od sukni. Paletocik piękną formą do figury, z przodu en châte wycięty, ukazywał szmizetkę białą zakończoną krawacikiem fioletowym.

Kostium z moheru jasno kafowego, miał falbankami i wodami ubraną spodnicę z nagłówkami ciemniejszymi; odpowiedni kaftaniczek zakończył ten piękny letni kostium.

Z materiałów lekkich bardzo nam się podobały:

Toile americaine po 10 rs. sztuczka, w niewarowym kolorze z pasami w różnych cieniach. Do nich są wachlarze zastosowane w cenie rs. 1 kop. 50. Perkale odpasowane bardzo gustowne i doborowe po 8 rs. Perkaliki w drobne desenie po 37 i pół kop. lokiec.

Mozambique na 75 kop. lokiec, musliny przesliczne i różnobarwne po 50 kop. sr. lokiec, takie same żaknoty na 35 kop. lokiec.

W magazynie pana Kwiatkowskiego pokazywano nam znowu zupełnie nowe i nieznanne jeszcze w Warszawie tkaniny, których nazwy dopiero z żurnali paryzkich były nam wiadome np. Japonaise jest to tkanina jedwabna z welną gęstą, cienką, slicznego połysku i mięsiści, niegniotąca się, zupełnie w nowym rodzaju. Sztuczka 40 rs.

Grenadiny kolorowe, zwykle w kolorach niezdecydowanych. Dotąd czarne tylko wyrabiano od 75 kop. sr. do rs. 1.

Barège crinoline broché, ze szlakami szerokimi atlasowymi. Sztuczka 30 lokci mająca po 24 rs.

Sultane w różnych kolorach z atlasowemi szlakami i wrobioną frendzelką, bardzo piękna suknia i strojna na większe zebranie lub nawet na wieczorek tańczący służyć mogąca, dla młodej mężatki; sztuczka 33 rs.

Z tańszych bawelnianych letnich materiałów są tak zwane Robe Jeddo, rodzaj płótna niewarowego po 9 rs.

Perkale pasowane od 7 do 10 rs. sztuczka.

Żaknoty à disposition, zwykle w girlandy różnobarwnych kwiatów szeroko ułożonych na falbany, a węższe na całej spodnicy pasy tworzące po 6 rs. 50 kop.

Perkalowe kostiumy gładkie po 5 rs. 50 kop. wypadają.

Z materiałów na lokcie bardzo nam się podobał nieznanny dotąd u nas materiał batiste écru, rzeczywiście zupełnie jakis surowy wyrób, szorstki, bez połysku, trochę welnę przypominający.

Toile de Siam, wyrób bawelniany gęsty i miękki na 50 kop. sr. lokiec.

Petite toile rodzaj dawnego naszego płócienka tylko w slicznym cieniuchnym gatunku na 45 kop. sr.

Ogromny dobór brylantyn na tle białem i dzikiem, w różny desenik na 50 kop. sr. lokiec.

Pika biała od 50 kop. sr. do 75.

Toile banac wyrób bawelniany gęsty, matowy, sztuczka 8 rs.

Cheąc uzupełnić jeszcze sprawozdanie zwiedziliśmy pracownię pani Siarczyńskiej na Krak. Przedmieściu. Mnóstwo zastawszy tam gotowych sukien i kostiumów, opisujemy niektóre, aby dać wyobrażenie czytelnikom naszym o guście, praktycznym zastosowaniu mody, i staranności w wykończeniu oddanej roboty co z dawną zakład ten zaleca.

Jeden kostium à deux tons mastique, miał spodnicę ubraną od dołu falbaną w zaprasowywane kontrafaldy, zakończoną bardzo zręcznie ułożoną bufką. Sliczne kamargo duże dwa liście z tyłu formujące, z przodu en tablier skrojone, oprócz wystroju z bufki, piękną frendzelą było ubrane. Kaftaniczek *frou-frou* dopełniał całości kostiumu.

Suknia długa z czarnej grenadiny, strojna była szeroką falbaną z nagłówkiem danym w pewnej odległości. Próżnią tę zapelniały trzy plisy ze skośnego atlasu. Takie same plisy w podwójny kwadrat ubierały staniczek i szerokie rękawy, z pod których wychodziły obcisłe koronkowe czarne rękawki. Od boków dane było zręczne frakowe kamargo, z dwóch części złożone nad którym suto faldowany karoczek, kończyła duża wachlarzowa kokarda z atlasu czarnego.

Druga taka sama suknia zamiast plis czarnych, miała falbanę i nagłówek objęty rulonem z lilla materji, i plisy tego samego cieniu. Ponieważ suknia ta przeznaczona była dla starszej osoby, dodano do niej paletocik nieco dłuższy, cały podszyty czarnym fularem i odpowiednim garnirunkiem przybrany.

Piękny kostium z fioletowej materji miał spodniczkę z trzema falbankami, przymocowanymi rulonami atlasowemi, tunika cztery kształtne zęby tworząca, do koła na każdym szwie miała rząd atlasowych kokard. Niezwykle ten wystrój pięknie i lekko ubierał kostium.

U szafirowego jedwabnego kostiumu bardzo nas zajęła oryginalna tunika, przybrana torsadową frendzelą. Rękawy paletotowe miały naszyte w formie muszkieterskiego mankieta, z plis skośno ułożonych.

Do popielatej długiej sukni, bardzo był zręczny paletot do figury nieprzepasany jednak, rozcięty na bokach którego znacznie dłuższe klapy tylne niezszyte do połowy, dwoma kokardkami złączono. Na obie strony odwrócona koronka czarna, ubierała paletot do koła z rulonem w środku.

Biała atlasowa suknia słubna z trenem, ozdobiona była szerokim wolantem i garnirunkiem z buf krepowych, zielonemi bukietami mirtu i kwiatu pomarańczowego. Stanik pod szyję odpowiednio przybrany otwarty był z przodu i ukazywał leciuchną z bufek illuzjowych szmizetkę; takie same obcisłe rękawki okrywały ręce, na które spadały szerokie i zupełnie rozcięte rękawy atlasowe.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Zabia Nr. 956 dom dawniej Krzemieńskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.

**Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego
dołączonego do N. 24 Tygod. Mód.**

N. 12. Spacerowe ubranie dla panienci od lat 12 do 15.

Suknia i paletocik weinany z kolorowego gładkiego perkalu. Rękawy szeroko puszczone. Pasek kokardą i szarfami przybrany. Falbany plisowane z nagłówkiem przeszyte są skośną plisą z perkalu, w jaśniejszym odcieniu tegoż co suknia koloru. Kapelusz słomkowy tyrolski, czarną aksamitką i bukietem polnych kwiatów przystrojony.

N. 13. Sukienka z białej piki ubrana wstawkami szydełkowymi dla małego dziecka.

N. 14. Ubranie panienci z białej alpagi w niebieskie paski.

N. 15. Suknia wełniana w kolorze lapis.

Spódnica zakończona skośnym szerokim wolantem, po nad którym riusza w kontrafaldy ułożona i dwa razy plisną aksamitną przeszyta. Okrągła tunika takąż riuszą garniowana. Stanik z bawetem i ranwersem na aksamitne guziczki zapięty, wążką riuszą i aksamitem przybrany. Rękawy obeisłe. Przy włosach kokarda ze wstążki kolorowej.

N. 16 i 17. Ubrania wizytowe.

N. 16. Ubranie strojne. Suknia z jasnej kolorowej materji u dołu szeroką czarną koronką garniowana. Stanik przybrany ranwersem atlasowym, jak również baskina węższą koronką garniowana. Rękawy wązkie. Czepczek z białej koronki i wstążki w tym co suknia kolorze.

N. 17. Ubranie wizytowe. Jasna kaszmirowa suknia z mantylą chustkową w ciemniejszym cieniu tegoż samego koloru. Takież szeroki, skośny wolant i marszczona riusza u dołu spódnicy. Rękawy obeisłe, stanik na guziki zapinany. Kapelusz wiązany z czarnej Crépe de Chine z kwiatami i koronkową barbką.

N. 18 i 19. Chustka kaszmirowa haftowana.

Bardzo wchodzi w modę chustki kaszmirowe haftowane czarne i białe. Haft może być w tym samym co chustka kolorze albo od tła odbijającym. Używają także haftu kolorowego w guście tureckim. Rycina przedstawia chustkę czarną kaszmirową, z zaokrąglonym końcem, haftowaną w guście tureckim i frendzlą czarną z nagłówkiem tureckim oszytą. Górny róg wywinięty, w zęby wycięty, haftowany i frendzlą naszyty jest w ten sposób, iż naszyte tworzy jakby głębokie wycięcie i klin podłożony od spodu. Przednie rogi nie są zaokrąglone jak to wzór wskazuje.

Kapelusz przy figurze 18 z błękitnego rypsu i Crépe de Chine tego samego koloru; z wierzchu przypięte duże białe storki.

Rycina 19, podaje kapelusz z czarnej Crépe de Chine; z przodu wielkie czarne pióro w kształcie toczka ułożone i gwiazdami z dżetu przepięte. Woalka bardzo szeroką frendzlą oszyta pokrywa włosy z tyłu, z przodu na piersiach zapina się kokardą ze wstążki.

N. 20. Suknia spacerowa.

Suknia z fioletowego fularu przybrana falbankami i plisami z tejże samej materji. Tunika z przodu bardzo krótka, z tyłu powłóczysta, do wyjścia na ulicę podpina

się i drapuje z boków, jak to widać na rysunku pod N. 20. Okrągły słomkowy kapelusz z rondkiem objętem aksamitem fioletowym, ubrany żółtymi różami otoczonymi czarną koronką.

N. 21. Takież suknia wizytowa z tuniką powłóczystą.

N. 22. Ubranie wizytowe.

Suknia z Linon lila, garniowana plisowaną falbaną 6 cent. szeroką, nad którą naszyte wstawki koronkowe. Przednia część tuniki tworzy zaokrąglony fartuszek, na to wchodzi tylna część powłóczysta. Przezrystość materjału, pozwala przez tę zwierzchnią tunikę, widzieć ubranie sukni. Pasek zakończony z przodu w bawet. Szerokie szarfy i epolety robią się z podwójnego materjału. Na staniku pod szyję, ubranie kwadratowe, z falbanki i koronki. Kapelusz biały włosieniowy ubrany wstążką lila i wianeczką z białych kwiatów.

N. 23. Suknia spacerowa.

Suknia z lila „sultane“ przystrojona pięcioma coraz węższymi plisowanymi falbankami. Każda falbana ma nagłówek z białego plisowanego taślinu, przszyty plisą z materji w kolorze ciemniejszym. Paletocik weinany z ranwersem jedwabnym zapięty na jedwabne guziczki. Kapelusz z lila crépe de chine, przystrojony koronką lila, czarną dżetową broszką i kłosami.

N. 24 i 25. Ubranie domowe i spacerowe.

Suknia z kretonu w muszki sięgająca do ziemi. Stanik pod szyję, tunika krajana razem ze stanikiem z przodu w dwie długie wązkie klapy, z tyłu z jedną szerszą. Plisowanie u dołu spódnicy układa się z oddzielnych skośnych kawałków gładkiego kretonu, tegoż co suknia koloru. Każdy kawałek powinien mieć 16 cent. wysokości a 12 cent. szerokości po ułożeniu. Pomiędzy plisowa-

niem plisowanym 3 cent. szerokim z gładkiego materjału, naszyta jest powyżej. Rękawy od łokcia rozszerzone, podobnie jak tunika w klapy przecięte. Klapy te mogą być puszczone wolno lub podług upodobania mniej lub więcej na siebie założone i zaszyte. Garnirunek tuniki i rękawów stanowi plisowanie 3 cent. szerokie i ruloniki aksamitne. Takież rozety dane wzdłuż przedniego brytu, na rękawach i przy włosach.

N. 25. Takież sama suknia z odmienną tuniką.

Kapelusz pod brodę z Crépe de Chine słomkowego koloru czarną koronką, czarnym piórem i białymi storkami przybrany.

N. 26—28. Futerałik do robót koronkowych.

Materjał: Jasno brązowa kanwa panama, brązowa materja, ciemno brązowa wstążka 2 cent. szeroka; jedwab kordonkowy jasno i ciemno brązowy, karmazynowy, zielony, jasno szafirowy i czarny, nitki złote, 6 lawowych guzików.

Na ten ładny i praktyczny futerałik, potrzeba wziąć kawałek kanwy panama 34 cent. długi, a 14 szeroki, pokryć go wzdłuż całej pomierzchni na krzyż idącymi ściągami jedwabiu czarnego, jak to próbka N. 28 wskazuje, na te dać w przeciwnym kierunku na przemian krzyżyki, szafirowe, karmazynowe, zielone a punkciaki zrobić nitką złotą.

Futerał wewnętrzny składa się z dwóch kieszonek z szyrtyngu na obie strony pokrytego materją brązową. Kieszonki te mają 7 cent. głębokości i służą do chowania tasemeczek koronkowych, nożyczek, nici i igiel.

N. 29 — 32. Neser do robót a zarazem i ławeczka pod nogi.

Materjał: Pąsowa Amerykańska skóra, żółty jedwab kordonkowy, kanwa, włóczka kastorowa w 6 lub 9 cieniach jednego koloru np. fioletowego, zielonego. Połączenie w jedno szkatuleczki z przyrządami do robót damskich i dogodnej ławeczki pod nogi w czasie podróży lub w ogrodzie na wsi, jest pomysłem bardzo praktycznym.

Podana na rysunku szkatuleczka z drzewa orzechowego ma 4 1/2 cent. wysokości i 28 długości. Do zamknięcia, a zarazem do noszenia szkatulki, służy pasek z podwójnej amerykańskiej skóry i płótna we środku, który wycina się z brzegów w ząbki i przystębnowya. Pasek ten przytwierdzony do wierzchniej części szkatulki opatrzonej jest mosiężnymi kółkami, i w koło ją opasuje, stanowiąc z wierzchu ucho do noszenia.

N. 33 i 34. Dwie rozety do przyozdabiania bielizny.

N. 35 i 36. Koszula męzka do rannego ubrania.

N. 35. Koszula z cienkiego niewarowego płótna. Hieroglify zdobiące zakładę, markiety i wykładany kołnierzyk, wyszywają się pąsową bawełną. Takież bawełną odrabia się wszystkie stębnówki. Falbaneczka zakończająca z obydwóch stron faldę środkową, jest 1 cent. szeroka.

N. 36. Podaje w naturalnej wielkości zakładę, desen i garnirunek do koszuli męskiej.



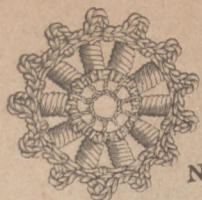
N. 1—3. Ubrania spacerowe.

N. 1. Kostium spacerowy z paletotem do figury.

N. 2. Kostium spacerowy z płaszczykiem.

N. 3. Ubranie z tuniką dla młodej dziewczynki.

niami jest 10 c. odstepu. Skośna plisa z kretonu w muszki objęta ciemniejszym aksamitem, przechodzi dwoma rzędami przez powyższy garnirunek. Takież plisa z na-



N. 14. Gwiazdka do aplikacji.

N. 13. Gwiazdka a szydelkowa do aplikacji.

N. 15. Listek do aplikacji.

N. 3. Ubiór spacerowy z tuniką dla małej dziewczynki.

Sukienka z popielatego Moheru, naszyta trzema plisami z pasową wypustką, na niej tunika z przodu krótka nie rozcinana z boku patkami przepięta,



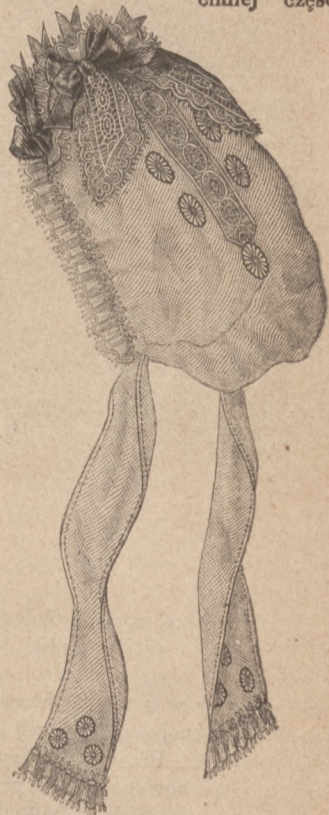
N. 16. Gwiazdka szydelkowa do aplikacji.



N. 17. Gwiazdka do aplikacji.

N. 18. Gwiazdka do aplikacji.

zela w zielonym, karmazynowym, lub innym żywym kolorze w pewnych odstępach, rzucik z drobnych listków ścięgiem podłużnym, poczem składa się ceratę przez środek i do zwierzchniej części



N. 20. Neglizyk z okrągłą bufką.

N. 19. Neglizyk muslinowy z przeciętem denkiem.

z tyłu spiczasto zakończona i od dołu aż do góry rozcięta oszyta plisą z pasową wypustką i frendzlą czarną jedwabną. Stanik pod szyję zapięty na pasowe guziki, ubrany szelkami i szerokimi szarfami. Kapelusz popielaty słomkowy, objęty pasowym aksamitem, przybrany wstążką popielatą i czarnymi piórami. Buciki z tej co suknia materji.

N. 4 — 6. Teka do papieru listowego.

Tekę tę wykonać można nader prosto i bez trudu. Potrzeba wziąć kawałek ceraty, w najlepszym gatunku, lakierowanej z obydwóch stron w kolorze czarnym lub brązowym, odmierzyć na wysokość 32 centy, na szerokość 48 cent. kawałek ten obszyć najpierw w kóło piękną tasiemką welnianą czarną lub innego odpowiedniego koloru. Na tym objęciu z prawej strony wyszywa się filo-



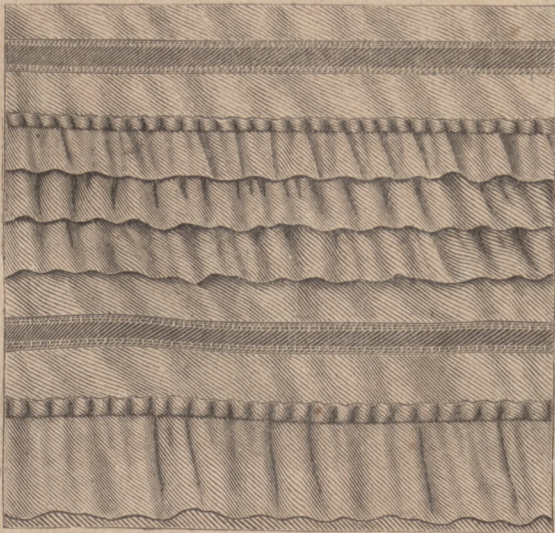
N. 22. Szmizetka okrągła.



N. 24. Szlaczek z szydelkową aplikacją.



N. 21. Koronka irlandzka. (Point lace).



N. 26. Garnirunek do sukni N. 27.

przyszywa długie paski ceratowe, 2 cent. szerokie w miejscu wskazanem na wzorze, które służą do zapinania teki. Paski te są z wierzchu pokryte wstążką tejże samej szerokości i w tym samym co cerata kolorze; brzegi obdzierają się podług rysunku N. 5. lub odrabia jak N. 6. Na środku wyszyta cyfra kolorowa. Skówka ceratowa przez którą przewlezione końce paska zapina tym sposobem tekę, która otworzona służy za podkładkę przy pisaniu.

N. 7 i 8. Dwa krzesła wyściełane, przyozdobione haftem.

Podajemy wzory dwóch krzesel, ażeby wskazać naszym czytelnikom w jaki sposób przyozdabiają obecnie meble gobelinami, haftami lub robotą krzyżową. Pod N. 12 podany deseń bardzo jest odpowiedni do tego celu. Wysokie poręcze tych krzesel są także gustownym ważkim haftem i frendzlą przyozdobione.



N. 23. Szmizetka podłużna.



N. 25. Szlaczek z szydelkową aplikacją.

N. 7. Krzesło z gładkim wystaniem.

Podstawa rzeźbiona palisandrowa, siedzenie pokryte jednokolorowym ciemnym rypsem welnianym i pasem krzyżową robotą, lub haftem w żywych kolorach. Poręcz przyozdobiona wązkami i kieszonkami, także roboty i frendzlą welnianą sznełową, w tym co ryps kolorze.

N. 8. Krzesło z wystaniem pikowanym.

Kunsztownie rzeźbioną podstawę zdobią złocenia i kwiaty ze złoczonego brązu, które na-



N. 29. Okrągły kapelusz z woalką.

materji ma jako elegancką ozdobę, garnirunek z białych piór z nadglówkiem z piórek szarej kuropatwy szeroki na 8 do 10 cent.

N. 11. Parasolka z muślinowemi falbanami.

Z cienkiego muślinu ufaldowana plisa 14 cent.



N. 27. Stanik pod szyję z kołnierzem. (Przód). (Zobacz N. 26.

kształt girlandy w festony, ułożone są na ciemno karmazynowej jedwabnej grubokręconej frendzli, otaczającej siedzenie i poręcz. Pikowane pokrycie z ciężkiego, jedwabnego, karmazynowego rypsu, przedziela na krzyż idący haft kolorowy; pas takiegoż haftu dopełnia ozdobę poręczy.

N. 9 — 11. Trzy parasolki.

N. 9. Parasolka z frendzlą.

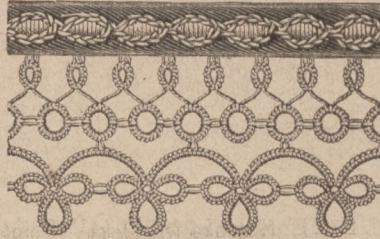
Pokrycie z białej materji u dołu wycięte w zęby spiczaste, oszyte jest wiązaną frendzlą z szeroką siatkową pasmanterją. Rusza z materji 1 i pół cent. szeroka dopełnia garnirunku.

N. 10. Parasolka z garnirunkiem z piór.

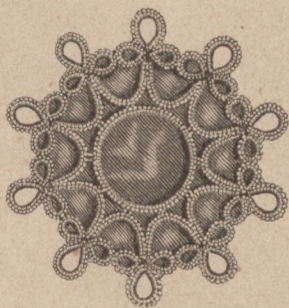
Parasolka z kolorowej



N. 30. Okrągły kapelusz bez woalki.



N. 32. Garnirunek do pelerynki N. 31.



N. 28. Stanik pod szyję z kołnierzem (plecy).

szeroka służy za garnirunek do jedwabnego parasolika w lila, niebieskim lub zielonym kolorze, 7 cent. szeroki pasek 4 cent. szeroki, pokrywa brzeg parasolki, dalszą długość stanowi faldowany wolant. Faldy są przymocowane aplikacją z haftu.

Dokończenie o b j a s n i eń drzeworytów nastąpi w następnym dodatku N. 26.



N. 31. Pelerynka muślinowa z frywolitami.

N. 33. Różeta do pelerynki N. 31.

N. 34. Ubranie do teatru.